KWARTALNIK
LITERACKI

KAMENA

LUBLIN

ROK X (XVI)

Nr 1-2

Wydane z zasiłku Ministerstwa Kultury i Sztuki

ROK X (XVI) **KAMENA** Nr 1 – 2 (81-82)

KWARTALNIK LITERACKI

Styczeń – Czerwiec 1949 r.

TREŚĆ NUMERU PIERWSZEGO – DRUGIEGO

JULIUSZ KLEINER	W 150 rocznicę urodzin Mickiewicza	str. 1
JÓZEF CZECHOWICZ	Z dramatu „Jasne miecze	„ 3
IGNACY FIK	Wśród legend	„ 4
TADEUSZ HOLLENDER	Jutro	„ 5
WŁODZIMIERZ PIETRZAK	Wysoka noc	„ 6
WŁADYSŁAW PODSTAWKA	Lilia	„ 6
JERZY KAMIL WEINTRAUB	Powrót z zaułka	„ 7
WACŁAW GRALEWSKI	„Zjadaczy chleba bić w mordę“	„ 8
STEFAN BALICKI	Pochwała Hutniczego Instytutu Badawczego	„ 11
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Nieskończoność	„ 13
WACŁAW MROZOWSKI	Pieśń	„ 13
MAREK ADAM JAWORSKI	Dziewczyny	„ 14
JAN BELESŁAW OŻÓG	Szczecin	„ 14
MARIAN PIECHAL	Pieśń zmarłego	„ 15
JÓZEFA RADZYMIŃSKA	Ciężar słów	„ 16
	Znak	„ 16
ROMAN SADOWSKI	Poeta	„ 17
ROBERT STILLER	Zła gwiazda	„ 17
MARIA SZCZEPOWSKA	Syrena	„ 18
WACŁAW GRALEWSKI	Dzikie kaczki	„ 19
JOANNA ŻWIRSKA	W przystani	„ 23
KAZIMIERZ A. JAWORSKI	Islandzki mech	„ 25
ALEKSANDER PUSZKIN	Do A. P. Kern	„ 33
WIKTOR DYK	Fatalny pomysł Jana Bukszpana	„ 34
KAZIMIERZ A. JAWORSKI	Przekłady z poezji czeskiej i słowackiej	„ 38
	Przekłady z poezji francuskiej	„ 65
	Noty	„ 72
	Książki nadesłane	„ 75

KAMENA

KWARTALNIK LITERACKI

Rok X (XVI) styczeń — czerwiec 1949 r. Nr 1-2 (81-82)

W STO PIĘĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ URODZIN MICKIEWICZA

(Przemówienie wygłoszone na poranku literackim w Lubelskim Teatrze Miejskim dn. 27.II. i 6.III. r.b.).

Ku wzbogaceniu i umocnieniu wiary w teraźniejszość — ku pomnożeniu szlachetnej dumy zbiorowej narodu, co zdołał przetrwać niebezpieczeństwa najgorsze — ku spotęgowaniu poczucia naszej niezniszczalnej żywotności — święcimy sto pięćdziesiątą rocznicę urodzin Mickiewicza.

Najbardziej oczywistą więzią i oznaką narodowego naszego bytu jest mowa polska — nic więc dziwnego, że do stwierdzenia „Ja i Ojczyzna to jedno" i do uznania prawdy tych słów zdumiewających przez ogół doszedł władca polskiej mowy, w panowaniu nad nią nigdy nie zatracający łączności z jej naturalnym, zwykłym tokiem, bliski i zrozumiały dla narodu.

Słowo jego bywało wielkie, odkrywcze i piorunujące. Ale bywało też proste, tylko z otoczenia innych zwykłych słów moc czerpiące i prostotą potężne. „Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, Kto cię stracił". O tęsknocie za ziemią ojczystą i za wolnością nie można mówić ani prościej, ani potężniej.

Każdej postaci i każdej rzeczy Mickiewicz kazał przemawiać mową jej właściwą i ujawnić swą istotę i swe piękno, dostrzegalne dla każdego, nie utajone czy tajemnicze, i właśnie dlatego najtrudniejsze do wyrazistego, przykuwającego ujęcia.

Był pionierem i zdobywczym wodzem romantyzmu i do szczytu nie osiągniętego przez inne literatury europejskie doprowadził jego dążności — i był przezwyciężającym romantyzm realistą. Twórca Wallenroda, Farysa i Konrada był także twórcą Jacka Soplicy, — umiał rozmach romantyczny przenieść na grunt realny i wielkość jednostki zespolić nierozerwalnie z realnością organizmu społecznego — umiał w „Panu Tadeuszu" stworzyć arcydzieło romantycznego realizmu. Ukazał, że w codzienności życia zbiorowego tkwi może

najwyższa poezja i że może się z niego wyłaniać najwyższy tragizm.

Umiał za młodu lawinę uczuć przelać w bezkształtność dramatyczno-lirycznego spontanicznego wybuchu wyznania i skargi Gustawa, umiał potem otchłanie psychiki poddać kształtującej woli artystycznej i przekuć w formy klasycznie posągowe — on, artysta stylów różnorodnych, twórczy władca rozmaitości literackich rodzajów.

Było w nim bogactwo wielu osobistości: poety i uczonego i publicysty, działacza i wodza i apostoła, buntownika i kornego głosiciela wartości najwyższych. Był w nim dynamizm ustawicznego rozwoju, ciągłego osiągania nowych stopni. Autor „Konrada Wallenroda" zdobywający dla poezji rolę przewodniczą w narodzie, z europejskiej atmosfery związków tajnych i spisków i z osobistego narodowego buntu przeciw caratowi wydobywający temat tragiczny i eposu godny — nie podobny był do tego, co obrzęd ludowy „Dziadów" przetwarzał w dramat o zdumiewającym pięknie nowości. Nie podobna była rozpiętość wszelkich tonów w „Dziadów części trzeciej" i potęga improwizacji, nabrzmiała burzą dręczących problematów wszechludzkich i narodowych, do słonecznej pogody „Pana Tadeusza".

Ale władała w nim także jedność i ciągłość etapów wszystkich i w każdej nowej fazie zachowywał zdobycze faz poprzednich — i w świat realistycznej epopei sielskiej, ziemiańskiej, wnosił postaciami ks. Robaka i Zosi najwyższe walory romantyki: tytanizm mężczyzny i urok nieziemski kobiety.

Niezależnie od tego, czy dla romantyzmu wyłamywał drogi nowe, czy afirmację życia niósł w miłującym polską rzeczywistość realizmie — podbijał zawsze prawdą doznania osobistego i zbiorowego, wyrośnięciem każdego zdania z głębin treści przeżytej.

Po rząd dusz sięgał nie tylko w momencie ekstazy — zdobywał go realnie siłą swej heroicznej osobistości porywającej się na to, by Konradowym wysiłkiem zastąpić naród, i poddającej się prawdom zawartym w dążnościach mas i zawsze wiodącej ku jutrzence nowych czasów.

On, który wchłonął w siebie pełnię tradycji narodowej, a jednocześnie płonął rewolucyjnym ogniem rwania się ku nowej epoce Polski i ludzkości, ku wielkiej przebudowie człowieka i społeczeństwa, stał się czymś więcej niż poetą naczelnym, pociągającym literaturę na nieznane dotąd wyżyny.

Stał się mitem ogniskującym w sobie siły zbiorowe.

Stał się symbolem narodu polskiego. Stał się nim dla nas i dla obcych. Stał się częścią integralną żywej, trwałej, twórczej Polski.

JULIUSZ KLEINER

Z DRAMATU „JASNE MIECZE"

CHÓRALNY ŚPIEW ZE SCENY I:

— Błogosławieństwo ubogim —
— gdy mrok na światła czyha
ich praca drobna i cicha
podsyca wieczny ogień —
— szczęśliwy bywa, kto bierze —
szczęśliwszy niż to, co się wzięło —
— ubodzy — cierpienia żołnierze —
— mocnego Boga eon —
— błogosławieństwo ubogim!...
— błogosławieństwo ubogim!...

CHÓRALNY ŚPIEW ZE SCENY II:

— nie widzisz oczu — monarcho — w żywota dwunastu stacjach
— a oczy te, to błękitna stolicy iluminacja —
— wszak takie ramiona mają wysmukłe czteromasztowce —
— te rzęsy — zagony porosłe siwawym spokojnym owsem —
— do istot ze srebrnej nocy — do syren z nadrzecznych wiklin —
— nawet i wy — cesarze — jeszczeście nie są nawykli —
— kto wieszczem jest — poznaje — takie źrenice uwiodą
— przez ciepłe kraje miłości — w straszliwą krainę chłodu —
— bo one łudzą — czarują — i wtedy kiedy nie kuszą —
— że patrzą — że są na świecie — to wiele — to bardzo dużo...

CHÓRALNY ŚPIEW ZE SCENY III:

— odwróceni od niebieskich bram
nie chcący śpiewać, jako boże świerszcze,
— rąbek prawdy ukażemy wam:
będziecie cierpieć — i nie tak jeszcze!
— odwróceni od niebieskich wrót —
spoglądajcie też w zwierciadła przeczuć:
tylko dla was istnieje ten głód
miłowania i błyszczących mieczów...
— urzeczeni! Niechże was paprocią
kto przeżegna! I nadejdzie kres!
Popłyniecie na czarną toń łodzią
zostawiając długie smugi łez...
Może w łodzi zaśpiewacie nam
i niebiosom jako boże świerszcze...
Ach, do tęczy i do rajskich bram
jak daleko — jak daleko jeszcze? —

3. CHÓR PANIEN:

Sława i sława ze spiżu!
— dym wonny podpiera błękit —
— już ukazujesz się — krzyżu —
— z cieniem świetlistej ręki —
— szmaragdy i karbunkuły —
— srebrzystych blasków obelisk —
— za szept bliźniego czuły
oddamy — dziewice w bieli —
Sława, sława i sława!
— krzyż i te jasne miecze
w dobroci serdeczną biedę —
o czemu czerwień ciecze
na ostrza, których jest siedem,
choć dwa się być wydawa...
Męce, radości chwała!
Życiu i śmierci sława!
Sława!

JÓZEF CZECHOWICZ

WŚRÓD LEGEND

Oparty omszałym czołem o pnie chropawe stuleci,
wydechający sny z wąwozu wieków,
nogami wplątany w cmentarz garbatych przechwałką skrzypów,
czeka:
aż cwałujący tabun zdarzeń
grzbiet horyzontu konturem zaświeci
i pozostawi krawędź
nad narastającej historii zwichrzoną rzeką —

lecz sam nie postąpi naprzód ręką otrutą,
wrąbany między dwa legend przekosy:
przyszłą i przeszłą —
nie ujrzy oczyma podmulonego dna —

przeszyty na wylot
przez dnia codziennego zbłąkany pocisk,
legnie w wyprostowanych nagle z trwogi
biczyskach paproci.

Tobie — nadstawić twarz bez przeszkód
pod nadciągającą szarańczę ospy —
tobie — przysunąć się bliżej ku drabinie nocy
ku czerwonym kogutom,
noszącym w nabrzmiałych grzebieniach
okrutny żar dnia.

IGNACY FIK

JUTRO

Głupota, spokój zabawne szczęście
(na chwilę tylko, na chwilę)
rozluźnić barki, rozewrzeć pięści,
głowę na piersi pochylić.

I marzyć głupio, śnić przezabawnie
o rękach miękkich, rękach kobiecych,
(na chwilę tylko być tak jak dawniej)
myśli rozluźnić, pleść coś od rzeczy,

skolonizować księżyc marzeniem,
eksploatować głupstwa kopalnie,
złotem mistycznym dzwonić w kieszeni,
pisać banalnie, santymentalnie,

w domku z ogródkiem zakopać spokój,
i pstre kwiatuszki posadzić w oknie,
szkiełko różowe ustawić w oku,
w krzach znaleźć w ptaszka zaklętą Prokne,

skądś stare wiersze wykryć w sztambuchu,
skradzionych cygar znów poznać rozkosz,
znów móc się wstrząsnąć „Nożami w bżuchu",
wreszcie na dłoni usnąć beztrosko.

— — — — — — —

Głupota, spokój, zabawne szczęście,
(na chwilę tylko, na chwilę),
twardo się nagle ściskają pięści,
łeb do ataku się chyli.

Sto tysiącami voltów napięty,
wparty nogami w niepewność gruntu,
przebiegam lekko łukami pięter,
pocisk nabity waszego buntu.

Tak pęknę kiedyś, miasto parszywe,
w tysiąc rozprysków, setkę wybuchów,
ciągłego jutra syn niecierpliwy,
wieszcz dynamitu, apostoł ruchu.

Jutro! A dzisiaj codzienna chandra
gna mnie w twój wąwóz piętrowych grobów,
jutro mnie wicher podrze jak sztandar,
płachtą czerwoną stanę nad tobą.

TADEUSZ HOLLENDER

WYSOKA NOC

Noc krople dżdżu czarnemu niebu kradła
i cienką kołdrę mgły rzuciła w regle,
ostre świerki ugasiły światło
gwiazd,
w górę granit narósł.

Słyszałaś piorun ciszy, kiedy strzelał komin
mnicha między rysy nieba,
piłaś zielony hałas huczących siklaw,
gdy spadał w wąski rów białych dolin,
gdzie za dnia jarzębinom trzęsą się ręce?

Garłuch z piersi zrzucał dym jak ciężar —
trudno jest mówić, trudno słuchać szeptu deszczu,
gdy głuchym mrok się w usta mokre zwierza.
Imię brzmi prawie jak naród kiedyś cierpiący,
póki wartka woda rzek nie spłynęła od skał;
widzisz —
ci, którzy wracali nie dźwignęli gór.

Zamknijmy krąg ciszy na krwawych wargach,
słowa jak sroki wrzaskliwe mogą się zbrzydzić!

Z tobą w kraju równin zobaczę dni nowe. —

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

LILIA

Przemówić szeptem blasku w odurzone oczy,
na wargach bladych skrzepnąć pachnącym omdleniem.
Chyli się ciężka głowa. Roślinne warkocze
zwisają coraz ciemniej. Pada gwiezdny miał.
Spod ziemi naczerpałaś słodyczy marzenia
o lilio, gdy nad tobą świt niechętny drżał.

Wyprężasz prosto w niebo łodygę zieloną.
Rakietą kielichową wyprysnęłaś w nocy.
Słupkami trójgrannymi z dna wyrastał chłód.
— Rozewrzyj białe wargi, złocistą ikoną
zamajacz słabym oczom. — Sam nie będę mocen
wypełnić tej ofiary, więc zabij mnie wprzód.

Pod wonią białej lilii wpółmartwy upadam
śród nocy. Na blach łoskot struchlały się budzę.
— Jak długo kwiat straszliwy będzie w oczy rósł
i ścierał gorzkie myśli mgławicami złudzeń!...
— Umiera zadżumiona zapachem Grenada.
Na mgłą zarosłym lustrze znak rozwartych ust.

O lilio, lilio, ginę i nigdy nie wrócę,
zostawię tylko w twarzy jakieś dziwne cienie
i strach ostatniej chwili i rozwarcie ócz...
Więc zwiędnie biały kwiat twój — pylniki pozrzucasz
zbyteczne, zasłużone mózgu zapłodnieniem
k u ś m i e r c i.

Na stole zmięte kwiaty — do ciemnicy klucz.

WŁADYSŁAW PODSTAWKA

POWRÓT Z ZAUŁKA

I jeszcze raz prowincja. Trzynastozgłoskowa
nuda ciężkim pułapem nad siedzącym zwisa.
Wolno krąży po głowie rozpaczliwy owad.
Półsennym objawieniem dymi ciepła misa.

Nie ma słów, nie ma domów, które nagła pogoń
w wędzidłach niepokoju tętenem wytropi.
To, co było — szczur, chrobot drzemie pod podłogą.
To, co będzie — nie sięga, krata kończy opis.

Byli niegdyś patrzący. Mech, co studnię porósł,
rąk był ciepłych oparciem. W widnokrąg wilgoci
opadało czekanie. W srebrny plusk wieczoru
zamieniało się światło, które już nie wróci.

Budowniczy spokoju, który klatką dlań był,
oddech w barwną mgłę zmieniał, w mgle się wiersze lęgły.
Wierzył w rzeczy wspólnotę. Na krawędzi hańby
dumał inny horyzont, jeszcze niedosięgły.

Słowa krwi nie zastąpią. I cóż nam przyniosą
te sztandary liryczne, które padły w walce.
Za lasem — tam się kończy granica eposu.
A tutaj — nie potrafią słów uwięzić palce:

nieporadne formują kształt, co w objawieniu
inną postać przybiera, kontur wyraźniejszy.
Ale tutaj po prostu — gdzie jesteś, płomieniu?
tego, czego nie było, nic już nie pomniejszy?

Dymi krew wśród pierwiosnków. Dokąd owo trafi
słowo, co nie przetapia, a które nazywa?
I ten ból i apatia rodzą epitafium
ponad misą dymiącą i nad kuflem piwa.

Przyjaciele polegli i ci, których nie ma,
i słowo, co poza mną a nie we mnie drzemie.
Łowca kształtów zastygłych, wydobywam z przemian
z własnych głębi nieznaną, choć odkrytą, ziemię.

JERZY KAMIL WEINTRAUB

„ZJADACZY CHLEBA BIĆ W MORDĘ..."

Jak zacząć?! Bo sprawa pachnie z lekka jubileuszem. Tak, jubileuszem. Właśnie w tym 1949 roku minie 25 lat od chwili, gdy ukazały się, po przezwyciężeniu wielu przeszkód, trzy zeszyty lubelskiego „Reflektora", zawierające wypowiedzi zarówno grupy poetów lubelskich, która to miano sobie przybrała, jak i wielu innych, o znanych dziś nazwiskach, mieszkających w różnych punktach Polski.

Obok tych lubelskich, jak Józefa Czechowicza, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego czy Czesława Bobrowskiego, niedawnego prezesa C. U. P., a obecnego posła w Sztokholmie, widnieją nazwiska Karola Szymanowskiego i Juliana Przybosia, Anatola Sterna i Adama Ważyka, Witolda Wandurskiego i Jana Alfreda Szczepańskiego, M. Szczuki („Blok"), Józefa Kramsztyka, Karola Husarskiego, Wacława Husarskiego, Jana Brzękowskiego, Kordjana Stefana Gackiego i Tadeusza Bocheńskiego. I innych.

Te trzy zeszyty zgrupowały na swych łamach reprezentantów awangardy literackiej, która po pierwszej światowej wojnie próbowała wspólnym wysiłkiem oderwać się od przeszłości i nowy wyraz artystyczny znaleźć.

Gdy to piszę, zamiarem moim, jako jednego z głównych sprawców powstania „Reflektora", nie są dociekania historyczno-krytyczne ani naświetlania oblicza ideowego. Może to zrobią inni.

Po prostu korzystałem z okazji, aby o środowisku tym napisać.

Zaczynem, z którego późniejsza grupa literacka „Reflektor" wyrosła, było w latach 1916—1923 lubelskie środowisko młodzieżowe. Pisma wydawane przez ówczesne organizacje szkolne jak „Młodzież" i inne krzesały z siebie już wówczas pierwsze iskierki „buntu młodzieży". Iskierki te stawały się błyskami narastających sił artystycznych.

Kiedy zawierucha wojenna ucichła, ci, co iskry te krzesali, jęli organizować w Lublinie nowe pismo. Przyświecała

im ambicja, aby nie miało ono charakteru prowincjonalnego, aby wypowiedzi drukowane w nim, przezwyciężywszy szablon, usłyszane zostały jak najdalej.

Z wysiłków tych zrodziło się pismo, które organizatorzy nazwali „Lucifer" (czyniący światło). Chcąc zapewnić mu szerszy widnokręg nawiązano kontakt z awangardowym pismem francuskim „La vie de lettre", którego redaktorem był Nicolas Bauduin. Wymieniono materiały i informacje, postanowiono stworzyć wspólny polsko-francuski front.

„Lucifera" w Lublinie zacofana opinia potraktowała jako wydawnictwo satanistyczne, mimo że w sumarycznym wyrazie daleki był od przypisywanych mu tendencyj. Wśród licznych jednak autorów literackich o różnorodnej formie i treści drukowanych na jego łamach znalazły się utwory Konrada Bielskiego („Dytyramb szatański") i Jana Nałęcza-Lipki („Inwokacja"), w których to prokuratura lubelska dopatrzyła się cech przestępstwa z art. 73 kodeksu karnego wówczas obowiązującego, a przewidującego karę więzienia od dwóch do sześciu lat. Pismo skonfiskowano. Sprawa stała się głośna. Rozgorzała polemika na łamach wielu pism w Polsce (atakujących prawicowych i broniących lewicowych).

Dwie interpelacje w Sejmie (klubów poselskich „Wyzwolenia" i PPS) oraz kilka konfiskat pism stołecznych i prowincjonalnych za przedruki fragmentów z inkryminowanych utworów (m.in. „Głosu Warszawy" redagowanego przez Szpotańskiego) dolały oliwy do ognia i rozreklamowały szeroko sprawę pisma lubelskiego. Za pośrednictwem Nicolas Bauduin'a zapoznała się z nią opinia francuska, a z Francji wieści o niej przedostały się za ocean, gdzie przedstawiono ją w niezwykłym kolorycie i przerobioną na niesamowitą sensację.

Po tumulcie, jaki trwał jeszcze pewien czas, sprawa ucichła, gdyż Sejm uchwalił amnestię, która objęła i sprawę „Lucifera".

Najbardziej poszkodowany okazał się p. Stanisław Wójcik, inwalida, kapitan W.P. „przyjaciel poetów" — właściciel drukarni, w której pismo było tłoczone. Okazało się bowiem, że poeci nie byli w stanie uiścić za druk i papier. Trzeba było rachunek zbonifikować, a właściwie „utopić" w dużej ilości kolejek, jakie przesunęły się podczas zaimprowizowanej kolacji.

Ta porażka finansowa nie zniechęciła literatów lubelskich, ani nie ochłodziła p. Wójcika. Zachętą i podnietą był niezwykły sukces reklamowy.

W wyniku różnych dyskusyj i omówień, głównie toczonych pomiędzy autorem tego artykułu a Kazimierzem Andrzejem Jaworskim (obecnym redaktorem i wydawcą „Kameny") zrodził się pomysł wydania nowego pisma, któremu nadano nazwę „Reflektor". Pomysł został urzeczywistniony w czerw-

cu 1923 roku. Numer pierwszy i jedyny tego wydawnictwa wystąpił buńczucznie. Deklaracja ideowa miała charakter twardy.

„Zjadaczy chleba bić w mordę, jeśli ich w aniołów przerobić nie można" — wołały słowa wstępne.

Na łamach tego pisma zadebiutował utworem noszącym tytuł „Opowieść o papierowej koronie" — Józef Czechowicz.

I znów brak pieniędzy uniemożliwił wydanie dalszych numerów (biedny kpt. Wójcik stanął wobec konieczności nowej bonifikaty i nowego oblewania...).

Dopiero w następnym 1924 roku w miesiącu listopadzie wydano nowe pismo, któremu dano nazwę poprzedniego — „Reflektor". Komitet redakcyjny stanowili: Konrad Bielski, Czesław Bobrowski i Wacław Gralewski. Jako wydawca figurował na nim niżej podpisany, jako redaktor odpowiedzialny — Konrad Bielski.

Już pierwszy numer tego wydawnictwa zwrócił uwagę opinii literackiej. Znalazły się w nim nazwiska Karola Szymanowskiego („Fryderyka Chopina mit o duszy polskiej"), Wacława Husarskiego („Podstawowe zagadnienia malarstwa współczesnego"), Karola Husarskiego („Wiersz o złocistych kochankach"), Józefa Kramsztyka (przekład z Rilkego), Anatola Sterna („Uwagi o teatrze i kinie" oraz przekład Majakowskiego „Wojny i pokoju"), Józefa Czechowicza („Zabawa"), Konrada Bielskiego („Polityka"), Kazimierza Andrzeja Jaworskiego („Wrzesień") i Wacława Gralewskiego („Miasto").

Całość dopełniła obfita kronika literacka. Wstęp utrzymany w spokojnym tonie głosił konieczność nawiązania łączności z powojennym dorobkiem literackim ogólnoeuropejskim oraz formułował pojęcie nowoczesności i aktualności w sztuce.

„Sztuka paseistyczna jest ta, która dawała maximum zadowolenia naszym ojcom, Sztuką Nową jest ta, która daje maximum zadowolenia — nam" — *pisała redakcja we wstępie.*

W następnych, drugim i trzecim, numerach „Reflektor" przybrał awangardowy charakter, krystalizując formę swych artystycznych wypowiedzi. Jednocześnie na terenie lubelskim w gronie piszących uformowała się grupa poetycka o zdeklarowanym charakterze awangardowym. W skład jej weszli: Konrad Bielski, Józef Czechowicz, Wacław Gralewski i Stanisław Grędziński oraz jako jej teoretyk Czesław Bobrowski.

Po wydaniu trzech kolejnych numerów, które silny oddźwięk w środowiskach literackich całej Polski znalazły (Jan Nepomucen - Miller w swej głośnej w swoim czasie książce „Zaraza w Grenadzie" grupę Reflektora do czołowych zaliczył) — wydawnictwo z braku pieniędzy zostało zawieszone.

Hasło rzucone — *szukamy mecenasa* — nie dało rezultatu.

Tym razem jednak nie było sielanki. Trzeba było za pa-

pier i druk i inne wydatki płacić. Męczeństwo finansowe poniósł niżej podpisany, którego nazwisko jako wydawcy, figurowało na łamach wydawnictwa. Redaktor odpowiedzialny poczuwał się tylko do odpowiedzialności moralnej — pozostali literaci lubelscy, którzy zadeklarowali udział w płaceniu należności, w ostatniej chwili ogłosili swoje desinteresment. Z górą dwa lata trzeba było miesięcznymi ratami spłacać zobowiązania wydawcy, które wyniosły ponad trzy tysiące złotych.

Mimo tych niepowodzeń finansowych grupa „Reflektora" nie przerwała działalności. Jej staraniem w ramach tzw. „Biblioteki Reflektora" ukazał się w 1926 roku tom wierszy Stanisława Grędzińskiego „Parabole" i w 1927 roku pierwszy tom poezyi Józefa Czechowicza pt. „Kamień".

Opracowała ona i wystawiła kolejno trzy Szopki Polityczne Reflektora (głównymi autorami byli dr Jan Arnsztajn i Konrad Bielski), które cieszyły się wielkim powodzeniem. Kukiełki robił m. in. Władysław Daszewski. Zorganizowano szereg wieczorów autorskich w Lublinie i na prowincji.

Działalność grupy została zawieszona z chwilą, gdy do Warszawy przenieśli się Józef Czechowicz i Stanisław Grędziński, a do Krasnegostawu — Konrad Bielski. Jej tradycje literackie przejęła nowa grupa młodych, która zgrupowała się przy pismach społeczno-literackich „Trybuna" i „Barykady", wychodzących w Lublinie, a z której wyrośli Bronisław Michalski i Józef Łobodowski, a później wydawana i redagowana do dnia dzisiejszego przez Kazimierza Andrzeja Jaworskiego „Kamena".

WACŁAW GRALEWSKI

Lublin, 23. 3. 1949 r.

POCHWAŁA HUTNICZEGO INSTYTUTU BADAWCZEGO

Tam z świtem w myśli oranżerii
niezmordowanie po noc szukam
najpiękniejszego z kwiatów pięknych: Jedności: Nauka—Sztuka.

Szkła tafli cieszy blaskiem stali
gdy słońce drzwiami pchniesz ćwierć łuku koła.
Cisza — która ruch rodzi.
Postęp arytmetyczny wznosi cię po schodach.

W świątynię Rozumu skupiają witraże.
Tysiące ksiąg na półkach.
Od dawna czeka rezonansu
mózgów uczonych
międzynarodówka

M. Pawłow
Herty
T. Murakami
Houdremont
Chesters
i Broniewski
(tyle spędziłem przy nich chwil!..)

Carl Benedix,
Pirani M.
i Henry Sainte Clair Deville.

Tutaj receptę na Dobrobyt
— różniczek wzór magiczny —
szukają w białych kitlach
doktorzy nauk technicznych.

Aby rozkwitła Nowa Era
łamią ukryty w Ziemi
prawem Le Chatelier'a
opór fizykochemii.

Cień zjawisk wielokrotni
sejsmograf aparatu —
ożywia je rumieniec
wachlarza temperatur.

Z nich rodzi się po trudzie
mocniejsza i wspaniała —
aż olśni w mikroskopie
czystością srebrnobiała!

Plon z korowodem wzorów
w wykresów kawalkadzie
popłynie w pokojowej
szlachetnej defiladzie.

W świat szyby rodzą słońca
w noc cieszą łuny Śląska.

Tam towarzysze moi
w benedyktyńskiej pasji
stal ulepszają
dźwig Dobrobytu
chleb Cywilizacji.

STEFAN BALICKI

NIESKOŃCZONOŚĆ

Jesienią można pisać. Nie tylko barwistą,
jak na bukach i brzozie, nie tylko zatęgłą
w bezruch powietrza, w metal i statykę krów,
co się pod moje okno zeszły posągami,
nie tylko smutną od konania kwiatów.
Pisać można jesienią dojrzałą i pewną.
Tak — myślę. Osadziście myślę. I tak czuję.
Tak nawet chcę. Człowieka hodujący w sobie
lat dziesięć czy piętnaście, wiem: ten człowiek niemal
stanął i, chociaż tętni jak jesień i glob,
stoi. Okręt w przystani? Nie. W nieskończoności.

(Zakopane) TADEUSZ BOCHEŃSKI

PIEŚŃ

Jeziora zielone, niebieskie wachlują pianą
na strumyk biały —
wiosło urosło wodą zakochaną
sennym moczarem —
rąk dwoje ciągnie niewód co dzień rano
strumykiem białym
jeziora te same, te same wachlują pianą
ku tym moczarom.

Sosny i brzozy w objęciach — to oblubieńcy
splątani w uścisku włosami —
jak wieniec z wieńcem
utkany zórz kolorami.

Pod wodą muszli szum, małże śnią na dnie,
roje glonów hukają w rzęsach —
któż wie
o smutku w zielonych przęsłach?

Rzeczko biała w błękit wpatrzona,
klaszczą fale w miedziane biodra,
kwilą z wiatrem w kołyskach drzew —

w wiklinie pasterka modra
ogniami burz urzeczona
i złoty znajomy śpiew.

WACŁAW MROZOWSKI

DZIEWCZYNY

Dziewczny smagłe, opalone lipcem,
grzeją ciepłem oddechu,
parzą ogniem pocałunku,
gdy wargi wargom męskim oddają,
gdy piersi piersiom męskim przechylą,
gdy — —

Dziewczyny smagłe, opalone sierpniem,
grzeją ciepłem granatów,
parzą ogniem karabinów,
kiedy czołg chce się wedrzeć
w dom matki, kochanka,
kiedy swastyka na murach zawiśnie,
kiedy automat uśmiechy zagasi,
kiedy nad ziemią długa noc zapadnie.

Dziewczyny czarnookie,
dziewczyny o oczach błękitnych,
dziewczyny o oczach zielonych,
dziewczyny, które oczu nie oddały ziemi —
karabin na książkę zamienią,
karabin za traktor oddadzą,
słońce na uśmiech przerobią
i w lata pieśń poniosą —
pokoju.

MAREK ADAM JAWORSKI

Warszawa, 1949.

SZCZECIN

Akordeon ciągnie schody, piętra, mur,

Wyobraź sobie łąki lazuru
i wieczór — spokojne obszary śrężogi.
Nie jest piękniejsza Dania z pawich piór.
To są ulice, którędy ci jechać przypadnie.
Myślę oto, jakby to było ładnie,
gdyby murem siknęła nagle chmura
na te gmachy i wieże śpiczaste jak stogi.

Mostem ze stali
dudnią drezyny,
mostem do portu
platformy jadą.

Tędy bosmani,
przepijcie gradem,
droga pirata
nieblisko brzegu —

tam gdzie i listek
kłosu żytniego
bochenek chleba
nosi na nodze.

Rano syreny z parowców i fabryk...
Z pokładów otwartych na morza na oścież
Kruzoe i równik, buciary
podbite stugłowowym gwoździem.

Z ostatnim westchnieniem ostatni marynarz,
spóźniony, pomięty w zapachu akacji,
zesunie się skwerem z kolejowej stacji.
Kotwicę podnoszą trzy fajki kominów.

I każda mewa biała jak kapelusz mniszki
płacze, a gdy popatrzysz do góry powoli,
widzisz na maszcie Marzanne z księżyca łodyżki
i bucik jej biały jak kwiatek fasoli.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

PIEŚŃ ZMARŁEGO

(według Lwa Tołstoja)

Wyschła ziemia na mojej mogile,
wypłakała mnie matka rodzona —
dni i nocy minęło już tyle,
dawność darnią porosła zieloną.

Wyschły łzy pod powieką mej siostry,
krzyk jej w pustkę milczeniem się rozwiał —
z bólu ojca — brwi siwe wyrosły,
z grobu mego — rozchodnik i podbiał.

Lecz ty jeden, o żywy mój bracie,
nie zapomnisz mej krzywdy i śmierci,
mścić się będziesz, nie łkać po mej stracie,
póki grób nie przywali ci piersi.

Śmierci kula przyniosła mi ciebie
i złożyła w mym sercu przebitem,
do wieczności mnie teraz kolebie
ziemia, końskim zdeptana kopytem.

Wiem: jest mądrość, której nic nie zmienia,
mądrość wszystkich tych, co martwych grzebią:
ciała nasze pochłania ziemia,
czyny nasze zapisuje niebo.

MARIAN PIECHAL

CIĘŻAR SŁÓW

Uczę się hiszpańskiej mowy,
mowy tajemniczej i dziwnej,
w której Pablo Neruda wyraża los pokrzywdzonych —

jak drobne krople piany
padają te słowa we mnie —
wdycham ich obcą woń razem z wiatrem słonym.

Tymczasem na morzu,
które jest świetlistą kulą
słońce marszczy swe brwi, ustokrotnione w fali,
i kilka chmur, okrągłych jak groch
wdzięczy się w sposób obłudny
do milczącego oceanu.

W tym wdzięczeniu chmury zmieniły się w astrę,
w wysmukły kwiat jesienny, rosnący w moim kraju —
powtarzam ciężką wargą: mi madre — Moja Matko —
i płacząc ku ojczyźnie mówię: o mi pais.

ZNAK

Krople księżycowego blasku zmąciły
gęsty tusz nocnego morza,
gęsty tusz w okrągłej misce świata —
świeci się teraz ich struna prawie gorąca,
służąc jako zwierciadło młodocianym gwiazdom.

Gwiazdy są młode, albowiem drżą,
albowiem lękliwie zjawiają się na niebie,
i jeszcze dlatego, że są nowe,
że wcale ich nie znam.
To są gwiazdy Południa.

Oto obcy blask jest dla mnie znakiem,
oto dokąd przywiodła mnie złuda —
płynie noc,
płynie serce,
płynie los,
znaczony krzyżem bólu,
znaczony krzyżem Południa.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

POETA

Kiedy wybuchła cisza wiekiem
na przelot muchy ociężałej
otarłem sadze mego domu
z twarzy wpatrzonej w kruchą skałę.

Hełm się potoczył w dni ubiegłe,
płaszcz okrył miejsce łez dziecięcych
i sidolówki kształt stanowczy
legł niepotrzebny. I nic więcej.

Szereg się wiązał. W dym i popiół.
Od ostatniego błysku spłonki
przez rudy szpaler drzew omdlałych
po lot bluźnierczy zwykłej słonki.

Wolna w tym kraju, co swą wolność
liczy na bicie sekund szału,
co flagi serc wiejących wciąga
na maszt długości luf wystrzału,

wolna w tym kraju — lotem swoim
objęła spokój w posiadanie
bluźnierczo zwykła, czysta słonka
— na nadwiślański piach zesłanie.

Ptaku z błękitnej barykady,
któryś mi podał ukojenie,
jak błysk rakiety bratniej w dymie
płonących lat wiekiem zaćmienia,

przybyszu z jasnej barykady —
aby nie minął wybuch ciszy
i aby twego ślad spojrzenia
rozkwitał w oczu naszych kliszy,

aby twój spokój nas ogarnął,
— sypię na ziemię słów tych ziarno.

ROMAN SADOWSKI

ZŁA GWIAZDA

Co brygantyny zbłąkane zwodzisz
W morskie bezdroża,
Zwodnicza gwiazdo, fałszywa gwiazdo,
Zła gwiazdo,

I kłamiesz błyskiem, nisko zwieszona
Nad czarnym morzem,
Za widnokręgiem na błędnym kursie
Ginącym masztom —

Wstań mi nad domem! Zakołysz dziko
Lęk w duszy,
Bo choć się lękam, tęsknię do ciebie,
Zwodnicza gwiazdo,
I patrzę nocą zza szyb ukośnie
Czarnym podwórzem,
Czy nie stanęłaś powyżej domów
Krwawa nad miastem —

Bo zdaje mi się... że jakieś w tobie
Straszliwe piękno,
Że gdy upiorna zwieścisz nieszczęście,
To szczęścia zgasną! —
W szlaki zatraty, szlaki bez wyjścia
Chciałbym się wprzęgnąć
I ruszyć ślepo, choć nie wiem po co,
na zgubę własną.

ROBERT STILLER

SYRENA

Odysie, czar zaczynam.
Słyszysz? Ja syrena
uwodzę, zapominam i śpiewam.

Słyszysz? Na skałach sycząc gasną piany.
Jutrzenka zbladła i szumem zahuczało morze —
bałwany spiętrzę i Charonom czarnym
na twój pokład ścieżki otworzę,
błyskawicą powrozy rozwiążę,
jak Charybda w wirach pogrążę.

Odysie, Odysie,
to ja, ja morska cisza...

Słońce płucze w falach swoje złote piórka.
Wypływam z odblasków w włosów aureoli —
twój okręt się kołysze — zagubiona łódka,
i żagle wątleją powoli.

Nie odjedziesz, jedyny, sam jeden, który mnie słyszysz.
Oczaruję, uwiodę, zapomnę...
twoje żagle ledwie, ledwie się kołyszą,
zgubisz drogę, zostaniesz, zapomnisz.

I cóż, że sam wiążesz swoje ręce młode?
Ja — pieśnią rozwiążę to, co jest związane,
oczaruję, okłamię, uwiodę...
O mój biedny, w powrocie zbłąkany.

MARIA SZCZEPOWSKA

DZIKIE KACZKI

Krótkie kontrolne serie broni maszynowej i trzasnięcia pojedyńczych karabinów przemawiały, jakby ludzkim językiem. Spełniały rolę jaką w dawnych czasach spełniały straże, nawołujące się wzajemnie na wałach obleganych warowni. Tylko ten mechaniczny szczebiot miał inną, mniej romantyczną wymowę, niż głosy czatujących strażników.

Miast ognisk, które czuwający obserwowali w obozowisku wroga, tutaj w oddali, na tle nocnej zasłony i biało szarej przestrzeni, pokrytej śniegiem podwarszawskiej równiny, widniały plamy pożarów, wijące się brudnoczerwonym refleksem w skrętach nisko opuszczonych chmur i dymów skłębionych.

Front wzdłuż Wisły żył według praw nim rządzących, stanowiąc dla sztabowca czerwoną powyginaną linię, wykreśloną na dużej płaszczyźnie mapy, a dla żołnierza mały wycinek złożony z szeregu punktów, w które stale wpatrzone były jego uparte oczy.

Punkty te żyły i poruszały się.

Czasem był to nieprzyjacielski sniper, którego wyborowe oczy wzmocnione optycznym szkłem czyhały z jastrzębią przebiegłością na każde nieuważne wychylenie głowy, czasem patrol, jak grupka podchodzących Indian, których życie dobrze znało się z powieści dla młodzieży, wpełzał na lód, pokrywający rzekę i usiłował podejść jak najbliżej stanowisk, a czasem mina moździerzowa, opisując z sykiem paraboliczną drogę, spadała, wybuchem przypominając pękanie szkła.

Z punktu na Grochowie, gdzie stał sztab pułku, ruszyliśmy z lejtenantem Paluchowem, aby przeprowadzić kontrolę odcinka zajmowanego przez jeden z batalionów — on delegowany przez dowództwo pułku — ja przez sztab dywizji.

Paluchow miał wskazać drogę do miejsca, w którym znajdował się dowódca batalionu.

Lekka śnieżna zadymka zmieniła realność otaczających konturów i nadała im jakby właściwości ruchowe. Wydawało się, że niektóre przedmioty zbliżały się — inne oddalały — nawet dróżka, wydeptana nogami często przechodzących tu żołnierzy, wyginała się jak sprężyna naciśnięta znienacka.

Równina, po której posuwaliśmy się ku Wiśle, poryta była lejami i wybrużdżona małymi rowami, wśród których rozrzu-

cone widniały niewielkie pagórki. Fałdy lodowe i śniegowe utrudniały posuwanie się.

Aby dotrzeć do wyznaczonego punktu, trzeba było przejść około pięciu kilometrów, co w nierównym porowatym terenie przy kilkunastu stopniach mrozu i dość ostrym, z różnych stron atakującym wietrze nie było bynajmniej przyjemnym spacerkiem. Podarte rękawiczki nie dawały dostatecznego zabezpieczenia palcom, a jeszcze ponadto musiały spełniać rolę nauszników i bronić biednych, brutalnie szczypanych przez mróz uszu.

Czas marszu skracaliśmy rozmową.

Paluchow zrobił na mnie wrażenie dobrego i szczerego chłopca, na którego młodość i bezpośredniość uczuciową rzuciła cień wojna. Stracił rodzinę, którą wymordowali Niemcy. Podobno ocalała siostra, do której był bardzo przywiązany, ale o której losach nic nie wiedział.

Polskę znał z opowiadań. Ucieszył się, gdy go wraz z grupą innych oficerów przydzielono do polskiej dywizji. Z oficerami Polakami nawiązał szybko serdeczne stosunki i czuł się dobrze w ich towarzystwie.

Chciałbym — dodał — szczęśliwie przekroczyć Wisłę i zobaczyć Warszawę. Dobrze byłoby jak najszybciej wykurzyć z niej Niemców.

Zamilkliśmy na chwilę. Ze słów jego zrodziło się we mnie przygnębienie. Wiedzieliśmy w sztabie dobrze, że Niemcy systematycznie niszczą i palą Warszawę. Potwierdzały to obserwacje optyczne, obserwacje lotnicze i zeznania jeńców, których co pewien czas chwytały patrole naszego zwiadu.

W miarę, jak upływał czas, a upłynęło już klikanaście tygodni, wątpliwości rozwiewały się całkowicie. Co dzień w biuletynie sztabowym znajdował się fragment, który mniej więcej brzmiał jak następuje: w północnej części śródmieścia Warszawy zaobserwowano kilkanaście nowych pożarów. Część zachodnia płonąca od szeregu dni okryta jest gęstym dymem.

I tak codziennie.

Były to pierwsze dni stycznia 1945 roku. W sztabie mówiło się o wielkiej ofensywie, która ma wkrótce rozpocząć się, i co dzień napływały meldunki obserwacyjne o nowych skupiskach ognia w Warszawie.

Paluchow zatrzymał się. Skręcił papierosa i zaciągnąwszy się dymem zapytał mnie znienacka: — A czy wierzysz ty w sny? I nie czekając na odpowiedź mówił dalej: — Czasami prześladują mnie dziwaczne widziadła. Np. ostatnio śniło mi się śnieżne pole, a na nim ze śniegu, tak jak kuropatwy, podrywające się stada dzikich kaczek. Ktoś strzelał, a ja czułem silny ból.

Jak ci się zdaje — dodał — czy sny coś znaczą i dlaczego akurat widzi się we śnie np. dzikie kaczki. Skąd taki obraz? —

Rozważając tak treść tego i innych snów dobrnęliśmy w pewnym momencie do brzegu kanału znajdującego się niedaleko brzegu Wisły. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że jest on niezamarznięty, mimo że rzeka pokryta była powłoką lodową.

Paluchow, który przechodził przez kanał szereg razy, wiedział o tym dobrze.

Widocznie woda musi być w nim cieplejsza niż w Wiśle. A może to tutaj znajdują się jakieś ciepłe źródła — powiedział po chwili.

Ale już wkrótce myśl jego pobiegła innym torem.

— W pobliżu — rzekł po namyśle — powinien być na kanale mostek, — mały drewniany mostek. Nie widzę go. Zagadaliśmy i drogę zgubili. Wypada więc pójść wzdłuż brzegu i poszukać!

Po krótkiej naradzie ruszyliśmy w lewo.

Po przebrnięciu jednak kilkuset metrów przez nagromadzony tutaj w dużej ilości śnieg zmęczeni i zniechęceni, nie widząc mostku, doszliśmy do zgodnego wniosku, że widocznie należało pójść w prawo.

Klnąc soczyście, bo mało co w chwili niepowodzenia daje większą ulgę żołnierzowi, niż słowo o krzywej mamie, potykając się o grudy i zapadając w pokryte śniegiem rozpadlinki dobrnęliśmy do punktu wyjściowego, a następnie zaczęliśmy iść w prawo.

Tu grunt był twardszy i równiejszy, to też szliśmy raźniej, i w milczeniu.

I nagle... — o, to zrobiło na mnie silne wrażenie — z wody zerwało się z gwałtownym furkotem skrzydeł stado najprawdziwszych dzikich kaczek, i przeleciało na naszymi głowami.

— Dzikie kaczki tutaj w zimie! — wykrzyknąłem zdumiony. — Paluchow, twój sen stał się jawą! To doprawdy niezwykłe!

Ale Paluchow bynajmniej nie był podekscytowany.

— To nic niezwykłego — oświadczył. Kaczki nie zawsze odlatują na południe. Mówili mi znawcy, że czują one instynktownie, które wody nie zamarzają, i wtedy zimują na nich. A o tych tutaj już mi mówiono kilka razy.

— No, to w takim razie — oświadczyłem rozczarowany — w twoim śnie nie było nic ciekawego. Ot po prostu opowiadano ci o kaczkach zimujących na kanale, myślałeś o nich, no a potem naturalnym biegiem rzeczy przyśniły ci się.

— No, tak — powiedział spokojnie — może to i tak jest, jak mówisz, tylko widzisz, ciągle jeszcze tkwi we mnie przygnębienie, jakie nie wiadomo dla czego ten sen zostawił. A przecież w tamtym obrazie sennym nie było nic, co by mogło przygnębienie wywołać.

Rozmowę naszą uciął, a zarazem uczucie ulgi wywołał widok mostku. Dobrnęliśmy do niego łatwo i swobodnie przeszli

na drugą stronę, zatrzymując się chwilę tylko nad trupami dwóch żołnierzy leżących w niedużym wgłębieniu.

Po upływie kilku minut wkraczaliśmy do małej chałupki punktu dowództwa batalionu. Kontrola zajęła parę godzin. Na linii panował spokój. Żołnierze, mimo braków, jakie zawsze są udziałem frontu, mieli dobre samopoczucie.

Po załatwieniu zwykłych formalności wracaliśmy znużeni i spragnieni wypoczynku. Dowódca batalionu dowiedziewszy się, że szliśmy drogą wiodącą przez mostek ostrzegał nas przed nią. Niemcy wiedzą, że kanał jest niezamarznięty i że mostek ma znaczenie komunikacyjne. Dlatego z lewego brzegu Wisły wciąż spadają na niego serie ognia pośredniego ckm.

Radzę wybrać drogę dłuższą, ale pewniejszą — dodał na zakończenie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie.

Byliśmy tak jednak zmęczeni, że z dobrej rady nie skorzystaliśmy. Marsz drogą okrężną wydał się nam koszmarem. To też ruszyliśmy z powrotem na Grochów tą samą drogą, którąśmy przyszli.

Zresztą obyło się bez żadnych przygód i niespodzianek.

Przez mostek przebiegliśmy szybko. Trupy żołnierzy były wymowną ilustracją twierdzenia dowódcy batalionu. Dopiero po odejściu od fatalnego miejsca na przyzwoitą odległość zatrzymaliśmy się i przez chwilę patrzyli za siebie.

Jakoś w drodze powrotnej rozmowa nie kleiła się. Czy to zmęczenie nadmierne, czy opory powstałe podświadomie, dość, że nie zamieniliśmy z Paluchowem ani słowa. Rozstanie w dowództwie pułku było również milczące.

Następne dni przyniosły zasadniczą zmianę sytuacji. Rozpoczęła się ofensywa. Warszawa została zdobyta.

Posuwaliśmy się szybko na zachód, nie napotykając na poważniejszy opór.

Żarna dni żołnierskich mełły monotonnie powszednią rzeczywistość. Otręby wspomnień tworzyły kalendarz przeszłości, w którym wypadki i ludzie mieli charakter rubryk i cyfr.

Z Paluchowem zetknąłem się od czasu nocnej wyprawy pod Warszawą tylko raz. Było to podczas jednego z tych dni, gdy w marszu w kierunku morza natknęliśmy się na tzw. wał pomorski.

Nasz punkt sztabowy znajdował się na wprost Herzbergu, silnie umocnionego odcinka oporu przeciwnika.

Poluchow zawitał do nas jako oficer łącznikowy pułku. Powitał mnie uśmiechem jak dobrego znajomego, ale na rozmowę nie mieliśmy czasu. Przesłuchiwaliśmy jeńców, od których wydobyć trzeba było informacje o rozlokowaniu punktów ogniowych.

Minęło kilkanaście dni bliźniaczo do siebie podobnych, wypełnionych nieustannym hukiem armat i wysiłkami, zabierającymi czas odpoczynku i posiłków.

Wreszcie nadeszła upragniona chwila. Pozycje nieprzyjacielskie zostały sforsowane. Dywizja ruszyła naprzód, uzyskując przedtem jednodniowy wypoczynek.

Po okresie trudów i nocy bezsennych zasnąłem snem twardym i głębokim, podczas którego w pewnej chwili ujrzałem pokrytą śniegiem równinę i stado lecących kaczek.

Następnego dnia na punkcie postojowym postanowiłem skomunikować się z Paluchowem i opowiedzieć mu sen, który był powtórzeniem jego sennej wizji.

Z pułkiem z trudem uzyskałem połączenie. Coś na linii prowizorycznie założonej szwankowało.

Dyżurny telefonista marudził długo i wreszcie poinformował mnie, że Paluchow poległ. Zginął od kuli snipera niemieckiego w momencie, gdy ze swoim oddziałem osiągnął brzeg dużego i pięknego jeziora, stanowiącego ważny element w kombinacji obronnej linii nieprzyjaciela.

WACŁAW GRALEWSKI

W PRZYSTANI

Ku słońcu na oddechu rdzawego motyla lecą myśli płoworóżowe jak zachód. Gdy mewa trąca skrzydłem zielony grzbiet wody, widzę wyraźnie tęsknotę i list, którego nie napiszesz.

Tylko lekkie smugi w oddaleniu o podbiciu fioletowych meduz przynoszą na ruchliwych grzbietach blade pozdrowienia, które chciałeś przesłać do kraju.

Morze jest ciche. Morze jest myślące. Morze jest fioletowe jak sny. Jeżeli śpi, zbudzi się, będzie miało kolor Twoich oczu.

Wysoki śpiew portowej syreny wskazuje godziną 12-tą.

Okręty leniwie patrzą drobnymi okienkami na wysoki brzeg przystani, gdzie gubię się i odnajduję na nowo — w zasięgu ich krótkich szybkich spojrzeń.

Chciałabym wyjechać na morze, ale kiedy wysoki kapitan, który całą wojnę przebył na okręcie uśmiecha się — już ta chęć jest daleko ode mnie — bo ciągle widzę tonących marynarzy z okrzykiem, słyszanym przez kogo?

Wolę patrzeć na roztańczone skrzydła mewy i nie widzieć kapitana, nie widzieć morza o spojrzeniu Twoich oczu.

Mewy przywodzą na myśl — śnieg — a śnieg — oznacza starość. A starość? — Indyjski Budda powiedziałby, że mądrość i śmierć. Ja jednak twierdzę, że jeśli mewa — to pocałunek szybki, jedyny — na przekór wojnie, śmierci i starości.

* * *

Przypływają okręty — puls ojczysty odlicza normalny już stukot tętniącego ruchu morza — nie! to jeszcze 35°! Wciąż rtęć termometru na osłabieniu.

Czy zauważyłeś?

Łagodne oczy ma ta przystań. Wypatruje i czeka. Troska marszczy gładkie czoło przystani.

Przypływają okręty — puls ojczysty już tętni i gra!

Przystań ma oczy łagodne. Wracają okręty...

Jeśli przejdziesz krokiem cichym popod lotem mewich skrzydeł — przypatrz się dobrze, jakie oczy ma przystań?

Łagodne!

Wciąż patrzysz jednakowo — a przecież zmienia się wszystko... Może ty patrzysz... triumfalnie?

* * *

Piasek nie jest ani szary, ani złoty — jest ciepły. Twój uśmiech zatrzymał się na piasku, drży lekki — krople płyną w słonecznej smudze.

Trudne jest życie w rozmyślaniu Twojej brwi — podniosła się łagodnie i na czole przebiega ruchliwą kreską niby liszka. A wszystko razem — to jest morze, na które patrzę.

Nie przeszkadzają mi Twoje dłonie — łowić możesz nimi blade snopy powietrza i zawieźć w ruiny miasta, aby mogło być łagodne i zdrowe.

* * *

Daleko odeszliśmy od przystani. Błękitny przecinek nieba między drzewami znaczy to miejsce, w którym zatrzymaliśmy się niebacznie: (kradliśmy tam jedyny pocałunek). Teraz omijamy je zdradnie udając ludziom obcym naszą obojętność. —

Ale to wszystko już było. W tej przystani nie zatrzymamy się oboje z tej prostej przyczyny, że zabrakło już nas widomemu światu.

Chodzę i chodzę, odgadując ścieżki, którymi tu biegłeś pod wiatr wojennej historii — tylko, że pustka, którą wciąż prowadzę pod rękę — nie pozwala myśleć inaczej — jak to, że świty liliowe i gorące południa — obejrzę już sama — i już sama odejdę drogą do miasta, które mi Ciebie zabrało. I nie wiem dziś, czy ostatecznie spotkamy się w tej przystani, którą nazywają ludzie — śmierć? Bo nawet jeśli czekasz — to czy — na mnie?

Daleko odeszliśmy od przystani...

JOANNA ŻWIRSKA

ISLANDZKI MECH

TOBIE

„Jakaż się tu jasność od ciebie rozpala!"
H. IBSEN

SPOTKANIE

Spotkałem ją na brzegu białej rzeki Hvity
— wczoraj było to, czy też przed laty wieloma? —
Bazalty się piętrzyły, tłoczyły trachity,
a z gór płynęła ku mnie melodia znajoma.

I urzekł mnie jej oczu jeziorny seledyn,
błyszczący jak lodowca wyiskrzona klinga
i przez moment mi wtedy się zdawało jeden:
to zeszła ku mnie siostra lub córka wikinga.

Wokoło była pustka głucha i martwota,
tylko rzeka śpiewała obojętną nutę,
tylko wiatr szarą suknią jak żaglem trzepotał
i ginął, by wśród szczelin odprawiać pokutę.

I wyciągając ku mnie łodygę ramienia
rzekła włosów trząsnąwszy złocistą wichurą:
„Choć nie znam twej ojczyzny ni twego imienia,
daj dłoń, pójdziemy razem ku lodowym górom!

ŚCIEŻKI UROJONE

Ścieżki urojone
wydepcemy w krąg,
lodowce zielone
nam uderzą w gong.

Zadzwonią kryształy
o czekanu stal,
snopem iskier białych
rozpłomienią dal.

Spojrzym w szczelin gardziel,
w czeluść mrocznych wód,
będziem mieć w pogardzie
twardych mięśni trud.

Choć się wiatr rozpiekli
tłocząc śmierć do płuc,
trzeba hardej Hekli
czub żelaza stłuc.

I na białym szczycie
wyczarujem czar:
wulkanowi skrycie
wykradniemy żar.

Norny nas poświęcą,
ufni łasce bóstw
złączym się pieczęcią
niezastygłych ust.

A gdy dni się skrócą —
zimy mknącej znak,
noce nam zanucą
najpiękniejszą z sag.

INGRYD SIĘ NAZYWASZ

Ingryd się nazywasz,
Ingeborga może,
ale w czas przybywasz
na moje bezdroże.

Gejzerem oparzysz
lub zmrozisz lodowcem,
alem twój towarzysz
przez zdradne manowce.

Anioł w tobie mieszka
czy piekielne moce,
ale będziesz ścieżką
przez te białe noce.

A gdy czas zuchwale
przez nas się przetoczy,
w wierszu swym pochwalę
twe islandzkie oczy.

PŁONĄCY MIT

Pnąc się na coraz wyższe lodów kondygnacje
metr za metrem w wichurze dźwigaliśmy krok
i jakby urągając prawu grawitacji
przesadzaliśmy szczelin błękitnawy mrok.

Tutaj nas ludzie nigdzie nie dostrzegą,
w komin wkręcamy się jak śruba w gwint:
w milczącej krąg białości za cichą Solwegą
podążam zapatrzony w cel jeden, Peer Gynt.

Gwóźdź się ślizga na lodzie, czekan stopnie krzesze,
serce tłucze się w piersiach jak pojmany ptak,
a wiatr północny w złośliwej uciesze
przecina w poprzek nasz splątany szlak.

I skąpe słońce, niechętny towarzysz,
zza chmur czasami ukazuje twarz
i niespokojnym wtedy migotem się żarzy
niepokalanej góry płaszcz.

Nareszcie szczyt. Dziewicze przewodniczki stopy
depcą dziewiczy jego czub,
a ja zdążając za nią w tropy
nieruchomieję — zachwycenia słup.

Kupuły siwe, kryształowe stożki,
kaskady ognia i zwycięska biel.
Staliśmy cicho — urzeczone bożki,
wpatrzone razem w osiągnięty cel.

I z gór na towarzyszkę swą oczy zwróciwszy
odczytałem w źrenicach jej płonący mit
i w skroniach zabił puls mi żywszy,
gdym witał nowy dla mnie świt.

W OBLICZU JEZIORA

Obudził mnie huk lodu, spadających złomów,
więc się cicho wymknąłem od śpiącej Solwegi.
Jasna gładzi jeziorna, teraz ze mną pomów,
falo w cichym przyplusku łaskocąca brzegi,
niebiosów, zjaw obłocznych najczystsze odbicie,
powiedz, naucz, jak trzeba adorować życie!

Od lodowców ciągnęło przeraźliwym chłodem,
milczała toń jeziora jasna, obojętna.
I nagle ktoś zadzwonił w kryształ głosem młodym,
a we mnie uderzyły wtedy wszystkie tętna.
To ona, zguba moja czy deska ratunku,
witała dzień wschodzący w śpiewnym pocałunku.

P I O S E N K A

„Ptaszyna wdzięczna s p o i,
kruszyna dźwięcznych nut,
człowieka się nie boi,
sfruwa z głazu na lód.

Wie — zabić ją nieszczęście,
pomszczony byłby grot,
lecz któż by podniósł pięści,
by podciąć taki lot?!

Siostrzyczko szara, s p o i,
szara — piosenka twa,
lecz niechaj nas przepoi
i wiecznie w uszach trwa!

Bo uczysz życie prościć,
mieszkanko głaźnych twierdz.
Błogosław samotności
zbłąkanych ludzkich serc!"

Tak ona zaśpiewała
i głos się w pustce niósł,
i dusza moja cała
zawisła u jej ust.

S E N

Tej chwili nie zapomnę. Znów nad tym jeziorem
nad którym się nasz namiot rozłożył wśród głazów.
Wiatr swawolił zuchwale z jej złotym kędziorem,
a ja słuchałem drżący najcichszych wyrazów:

„Sen miałam dzisiaj w nocy. Ty mi go odczytasz,
Jeszcze teraz drętwieję, gdy mi w oczach stanie:
szliśmy razem przez mroczny śródskalny korytarz,
co wiódł nas ku rozległej słonecznej polanie.

Takich tutaj na wyspie nie zobaczysz polan,
w twej ojczyźnie są pewno, ja je znam z powieści:
powódź kwiatów błękitnych i trawa do kolan
i słońce, co w tych ramach się nigdy nie zmieści.

I nagle powiedziałeś uroczystym głosem:
— Chcę zobaczyć twe serce, ty się nie przelęknij,
wyjmę tylko na chwilę, nie zadrżysz pod ciosem.
To nawet nie zaboli, tu na trawie klęknij! —

Urzeczona, posłuszna rozkosznej hipnozie,
odsłoniłam pierś lewą pod tych słów dekretem.
Długi moment — i nagle skamieniałam w grozie:
podniosłeś dłoń do góry i ciąłeś lancetem.

Zdążyłam jeszcze krzyknąć: — Przecież to jest zbrodnia!
Tyś uśmiechnął się tylko: — To są tylko czary!
I tak jest przecież moje! — A słońca pochodnia
smoliła płomieniami wokół drzew konary.

Naprawdę nie bolało. Leżało w twej dłoni
jak ryba trzepocące się me serce biedne,
a tyś je trzymał mocno jak rzecz, co się broni.
I wtedy się zbudziłam i myślę o jednem..."

Umilkła, a przed nami kryształowa czara
obojętnie wydała cichy plusk jeziorny.
Szepnęła: „Mów, co znaczy ta krwawa ofiara.
Zła to wróżba czy dobra? Co powiedzą Norny?"

„Ingo, rad bym rozumieć ten twój sen dosłownie:
to serce mieć na zawsze w swej ręce na własność!
Zapaliłbym świat cały mając taką głownię,
choćby mnie oślepiła i zwęgliła jasność...

Niestety, sny się zwykło tłumaczyć na odwrót:
to twój był nieomylny w piersi cios chirurga,
a mój — drgający kłębek, wieczysty kołowrót
jałowych dni bez ciebie w szponach demiurga".

W kącikach warg jej zatlił się uśmieszek nikły
i płomyk zagadkowy rozświetlił jej oczy.
I gdy fala znów plusk swój powtórzyła zwykły,
rzekła: „Tak czy inaczej, jest to sen proroczy".

O B Ł O K

Niebo chłodne, zmartwiałe, niebo kryształowe!
Kąpie się wzrok twój, Ingo, w tej wysokiej głębi.
O głaz omszony wsparłaś pochyloną głowę.
Ileż myśli pod czołem twym się białym kłębi!

Ileż chmur fantastycznych piętrzy się w wyżynie!
Pradziadów twych walhalla, bogów bój potężny!
Ale tam na zachodzie jasny obłok płynie
jak ty przelotny, krótko mym oczom dosiężny...

W Y P A D E K

Wiatr wzmagał się, przechodził we wściekłą wichurę,
jakby w kuźni diabelskiej dęły wszystkie miechy,
miótł w oczy śnieżne igły i parzył nam skórę.
Z jakimż trudem czerpaliśmy do płuc oddechy!

Gnał od mroźnej Grenladii, z białych pól bieguna,
łączył mgły poszarpane i znowu je strzępił,
pod kurtki się nam wdzierał jego pazur sępi
i „celty" na nas drżały jak napięta struna.

To było na piarżystym i zdradliwym stoku,
trawers wiódł ku przełęczy, stamtąd szlak w dolinę.
Nagle krzyk jej: „Uważaj!" Już nie stało kroku,
gruz się zsunął pode mną. Zrozumiałem: płynę...

Lawina piargu zdarta z gładkiej lodu ściany
ciągnęła mnie za sobą wciąż z większym rozpędem.
Zatoczył się nade mną cały świat pijany,
nadstawiły swe paszcze już szczeliny rzędem.

Zdołałem się obrócić i jadąc na brzuchu
raniłem lód czekanem, by górom nie ulec.
Lód to krwawił czy ręka? Ach, zbawczy hamulec!
Tuż nad samą szczeliną utknąłem bez ruchu.

Leżałem półprzytomny. Wiedziałem — warować!
Lękałem się oddychać, by się w śmierć nie zsunąć.
Płonęła oszalała stupudowa głowa.
Myśl jedna: ona żyje i nie da mi runąć.

Jej nie tknęła lawina: pozostała w tyle.
Lecz jak tu zejdzie do mnie? Zaasekuruje?
Mijały dnie, godziny, może tylko chwile
i czuć już zaczynałem, że już nic nie czuję.

I nagle głos znajomy. Serdeczny towarzysz!
Zza bloku, co majaczył we mgle jak wielkolud,
pewną ręką cisnęła kłębem liny o lód,
a ta się zatrzymała tuż przy mojej twarzy..

Nagły przypływ energii. Od niej, od niej wionie!
Kocim ruchem, by zmylić wroga ze szczeliny,
uchwyciłem się raptem życiodajnej liny,
co jak stuła najświętsza złączyła nam dłonie.

A D O R A C J A

Walą się lądy,
jury triasy,
Grzmią mastodonty
przez mroczne lasy.

Świat się zapada,
świat się wyłania.
W słońcu się skrada
jeleń i łania.

Gubią się wieki,
giną epoki.
Świat jest daleki,
świat jest szeroki.

Ty i plusk fali,
ty i głąb nieba,
słońce się pali,
słów nie potrzeba.

Skrzydło urasta,
duch potężnieje.
Mąż i niewiasta:
odwieczne dzieje.

W NAMIOCIE

Wiatr nawalny do wnętrza natrętnie szturmował
i płótnem niecierpliwie targał.
W namiocie pochyliła się nad głową głowa,
nad wargą warga.

Nucił piosnkę na przekór wiatrowi zły „prymus"
stwarzając przytulności pozór.
A noc na próżno sobie zadawała przymus
i biały był jej dozór.

I rzekła Ingeborga do mnie czy Ingryda
w pieszczotach czyniąc przerwę:
„W zimie wieczór piękniejszy by się tobie wydał —
widziałbyś gwiazdy srebrne..."

„Ale wówczas by zgasły inne konstelacje,
na przykład oczu twych Bliźnięta..."
„Patrz, woda się gotuje. Czas już na kolację",
przerwała uśmiechnięta.

Wiatr rzucał się, bełkotał jak chory w malignie
i noc, choć widać rąbek słońca.
Miłość może poczekać — herbata wystygnie:
noc biała nie ma końca.

TWOJA OJCZYZNA

Twoja ojczyzna mnie urzekła
jak ty, jak twoje chłodne oczy:
ziemię po wierzchu lód tu tłoczy,
a wewnątrz stygnie ogień piekła.

Wyspa uboga — mchy, porosty,
lis niewybredny, nędzne owce,
lecz biała dal, tęczowe mosty
i szklane, skrzące się lodowce.

Wiatr śpiewa smutne tu akordy
wdzierając się w oporne usta,
a siwe morze dziko chlusta
i bije wciąż w samotne fiordy.

Woda i ogień. Lód i skały.
Tak, mnie urzekła twa ojczyzna:
pod maską chłodu żar zuchwały —
to twoja wierna podobizna.

POŻEGNANIE

Z gór nas spędziła nadchodząca zima
i trzeba było nam się rozstać wkrótce:
ją w Reikjaviku rodzina zatrzyma,
ja się powierzyć miałem wątłej łódce,
co do parowca mnie dowiezie burty,
gdzie już pożegnam białej Hvity nurty.

Lecz przed rozstaniem zesłały nam Norny
noc — żadna iść z nią nie może w paragon:
wiatr przywarował jak piesek pokorny,
a strop zabłysnął borealną sagą:
zawisły w niebie zielone draperie
czyniąc ze świata nieziemską feerię.

Jakby w nagrodę, że natura skąpa
drzew pozbawiła tę wyspę i liści,
blask ją w zieleni upiornej wykąpał
i sen o maju jej szumiącym ziścił:
płynęły fale szmaragdowej Hvity
i lód się ubrał w skrzące malachity.

A blask się mienił, niknął, to znów tężał,
przygasał, znowu wybuchać zaczynał,
i na me serce kładł się smutku ciężar,
że oto taki mej miłości finał:
płonęła niby ta zorza polarna,
a gdy zagaśnie; noc mnie połknie czarna.

Ona czytając me myśli widocznie
(wczoraj to było czy przed laty wielu?)
rzekła: „Cokolwiek serce twoje pocznie,
gdy nie będziemy razem, przyjacielu —
zostawisz tutaj nie miłości gruzy,
lecz wieczny uśmiech twej szczęśliwej Muzy.

Ona ci wierna zostanie do końca
i czy cię w niebie olśni lot jastrzębia,
czy też pełzanie po ziemi zaskrońca,
czy cię urzeknie mórz czy myśli głębia,
w górach i w domu, w orkanie i w ciszy
ona ci zawsze będzie towarzyszyć.

Rękę ci będzie prowadzić przez papier,
byś w porę znalazł nieomylny wyraz;
celny jak nagan i ostry jak rapier,
i moja dźwięczeć będzie wtedy lira,
a wiatr huczący wieczorem w kominie
z mojej ojczyzny ku tobie przypłynie".

To powiedziała, a zorza już gasła
i niebo swoje wygwieżdżało ćwieki,
było to właśnie do rozstania hasło —
konie czekały i naglił szum rzeki,
więc się poddając ostatecznej próbie
zwarłem z nią wargi w pożegnalnym ślubie.

POWRÓT

Sam na okręcie. Tyle ludzi.
Ku nowym teraz dążę próbom.
Drży niespokojny serca budzik,
drży obojętnie statku śruba.

Dal z każdą chwilą się otwiera,
ląd z każdym węzłem się oddala
i tylko w górze atmosfera,
a w dole wciąż krajana fala.

I oko me niemęsko mokre
i już ostatni wyspy dech.
O dygocący wsparty okręt
kruszę islandzki w ręku mech.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

DO A. P. KERN

Pamiętam chwilę zachwycenia:
Tyś przestąpiła nagle próg,
Jak napowietrzna zjawa śnienia,
Czystego piękna jasny duch.

Pośpiew „Islandzkiego mchu" — „List" był drukowany w Nr 66/67 „Kameny".

Nękany smutkiem rozpaczliwym
Wśród zgiełku, co próżnością tchnie,
Długo słyszałem głos twój tkliwy,
Widziałem rysy miłe w śnie.

Czas mijał. Zdarzeń pęd burzliwy
Zniweczył wszystkie dawne sny
I znikł z pamięci głos twój tkliwy,
I ślad niebiańskich rysów znikł.

W niewoli mrocznej, w oddaleniu,
Nużący wlókł się po dniu dzień,
Bez bóstwa mego, bez natchnienia,
Bez życia, łez, kochania śnień.

Lecz przyszło duszy odnowienie:
I ukazałaś mi się znów,
Jak nieuchwytna zjawa śnienia,
Czystego piękna jasny duch.

I serce bije w uniesieniu,
I oto zmartwychwstały z nim
I jego bóstwo, i natchnienie,
Wzruszenia, ból, kochania sny.

ALEKSANDER PUSZKIN

przełożyła Maria Bechczyc-Rudnicka

Kwiecień 1949.

FATALNY POMYSŁ JANA BUKSZPANA

Nie uwierzycie, jak niebezpieczną rzeczą jest mieć temperament w Czechach. Ale się o tym dowiecie.

Fragment z listu

Jan Bukszpan uśmiechał się.

Przyszło mu do głowy pewne głupstwo, mała mistyfikacja a niczego nie lubił bardziej. Wpadł na tę myśl, a miał właśnie pod ręką papier. Była to już po raz siódmy odrzucona prośba o przyznanie mu jednej z nagród czwartego stopnia Akademii. Taki papierek był stosowny do tego niewinnego podstępu. Zaczął więc szkicować swój plan.

Śnieg prószył na dworze białe płatki, które podniecały lot jego awanturniczych obrazów. Czyż może być coś weselszego? A więc przekład z Villona. A jeszcze lepiej: przekład z nie istniejącego Villona. Gdybyż choć znał Villona! Ale co wie o nim? Poeta-włóczęga, piętnaste stulecie, poprzednik Verlaine'a. Chciano go powiesić za jakieś przestępstwo i dlatego pisał rzewne wiersze do Marii Panny; a wreszcie, czy to nie nasz Villon napisał melancholijny refren o rzeczach, które dawno minęły, jak panowanie Berty z wielką nogą:

— I gdzież są niegdysieysze śniegi? —

Jan Bukszpan pisał wciąż się uśmiechając:

Maiątkiem iego były polne trawy,
tesknota zawżdy go dręczyła srodze.
On nie miał Panny Orleańskiey sławy
i przygód szukał na szerokiey drodze.
Gdy wróg z Angliey wszedł na nasze niwy
Francyią starą dusić hardą pięścią,
insi polegli, on pozostał żywy.
— Był człowiek to, co nie miał nigdy szczęścia.

Nie każdy kwiatek łacno się rozwiie,
a gdy rozwiie się, to bieda cała.
Kiedy się modlił do Panny Maryiei,
ona go jedno zawżdy wysłuchała.
Albo ta Blanka, pani harda bardzo,
gdy ią opadło w nocy gachów sześciu,
pięciu wyżęła, jedno nim nie gardząc.
— Był człowiek to, co nie miał nigdy szczęścia.

Tysiące serc w Paryżu milcząc puka
o swey niedoley i o swych potrzebach,
tysiące serc na darmo szczęścia szuka
i patrzy jedno powszedniego chleba.
On zawżdy dziecko, szedł bez celu przodem.
Ciężkie to brzemię swoje serce nieść ci.
Połowę drogi przeszedł przed zachodem
— Był człowiek to, co nie miał nigdy szczęścia.

Przesłanie

Nad urok dziewek, nad ich chytre oczy
wzrok rybałtowy większą zgubę wieści.
Pirzchnijcie, dzieci, niechay w noc swą kroczy.
— Był człowiek to, co nie miał nigdy szczęścia.

Tak brzmiał ten nędzny utwór, mizerna próba. Ale czyż nie wszystko jedno? Były to ostatecznie wiersze. I Jan Bukszpan (litujcie się nad jego lekkomyślnością) uśmiechał się. — Przekład z Villona, nie prawdaż? — Jak to będzie wybornie brzmiało. Ciekawa rzecz, co się stanie z tą Miszgeburt! Płatki śniegu przelatują tak wesoło, niesione lekkim podmuchem; Jest pięknie, trochę chłodno, dzień zimowy. Czyż życie nie jest piękne?

* * *

I tak się stało, że w jednym z następnych miesięcy utwór ten wydrukowano; nie chcę powiedzieć gdzie; wystarczy fakt. Wydrukowano, nie zwrócono na niego uwagi i przejrzano tylko, jak się nie zwraca uwagi i przegląda tak wiele innych rzeczy? Do diabła, nie można tak powiedzieć. Zwrócono ponie-

kąd uwagę i to uwagę w pewnych kołach. Skandal, którego oczekiwał Jan Bukszpan, nie wybuchnął; mistyfikacji nie odkryto; z dobrotliwości czy braku specjalistów nikt nie ujawnił frywolnego żartu, ale stało się coś zgoła innego...

„Czytałeś ten przekład z Villona?" pytał się kiedyś wieczorem Karol Kwiat przyjaciela Kuczery.

„Nie zajrzałem do niego", odpowiedział tamten.

„Naprawdę, Bukszpan był nieostrożny, że to wydrukował"... I słowo „nieostrożny" brzmiało zabójczo.

„Dlaczego?" Spytał Kuczera niewinnie.

„Ach, ty filucie, miły filucie!"

„Nie wiem, nie rozumiem"...

„Co za aktor, co za aktor! Doprawdy nic ci nie przyszło do głowy?"

„Nic a nic".

„No, więc", mówił uroczyście pan Kwiat", oto książka naszego poety, naszego przyjaciela Jana Bukszpana, uczczonego siódmą odmową Akademii. Przeczytaj trochę!

I Kwiat oparł się o krzesło patrząc na Kuczerę bacznym, ale pewnym wzrokiem.

Tamten długo nic nie mógł zrozumieć.

„No, więc"...

„Nie rozumiem dotąd"!

„Ale przecież jesteś jak Burian", śmiał się Kwiat. „No, weź tę książkę; tu pisał Bukszpan, prawda? A teraz weź te wiersze — przekład z Villona, prawda? No, jeszcze ci nic nie przyszło do głowy? Sposób pisania, nastrój, styl? Nie ma podobieństwa? Żadnego?

„Ale owszem, podobieństwo jest"...

„Istotnie b a r d z o wielkie podobieństwo. Skąd to pochodzi"?

Karol Kwiat uśmiechał się złośliwie.

* * *

Gdy po pewnym czasie Bukszpan wydał swą nową książkę, stało się coś zadziwiającego. Zdania całej krytyki były tym razem jednomyślne... Gdziekolwiek poświęcono książce uwagę, czytelnik mógł niechybnie przeczytać: „niestety, pod silnym wpływem Villona"... „Nie zupełnie samodzielny autor nie wyzbył się dotąd licznych wpływów, z których na pierwszym miejscu wymienić należy Villona"... „Brak własnej osobowości; fatalna próba wskrzeszenia tego, co dalekie i martwe; cień Villona"...

Symptomaty stawały się coraz bardziej krytyczne, spojrzenia na promenadzie zatrzymywały się z coraz większą sympatią na Bukszpanie, przyjaciele przybierali miny coraz radośniejsze.

„Villon, Villon — ale gdzież ten wpływ? W czym się przejawia ten wpływ"...

Próżno Bukszpan się pytał, próżno protestował, opinia się wytworzyła, sąd był ustalony; ludzie pobłażliwie wysłuchiwali jego protestów. Wyraz twarzy ich mówił: Bardzo dobrze, brachu! Nie można od ciebie wymagać, abyś fakt ten uznał.— Tak więc Bukszpan czuł, że wszystko jest daremne, nie pozbędzie się podejrzeń, nie pokona tej nie wiadomo przez co wywołanej i udowodnionej opinii... Stawał się nerwowy, nie był zdolny do pracy. Wtedy przyszło ostatnie uderzenie, tragiczny cios.

* * *

Któregoś rana Bukszpan spotkał pana Grzegorza. Była to jakaś powierzchowna znajomość, nie wiadomo skąd; obowiązek pozdrawiania. Było to na początku grudnia; napadało wiele śniegu. Ale pan Grzegorz nie zważał na dozorcę, który właśnie zamiatał ulicę między nim a Bukszpanem. Potężnym skokiem znalazł się obok niego i zawołał grzmiącym głosem: „Gratuluję, przyjacielu"!

„Czego"? Zawołał Bukszpan.

Ale pan Grzegorz zniknął już tak samo prędko, jak się ukazał.

Za rogiem podobny wypadek. Ale teraz Bukszpan był uważniejszy. Schwycił mężczyznę, zanim ten dokończył, i wrzasnął na niego:

„Czego"?

„Ale przecież pan wie", rzekł pan Szczęsny. „Czy nie czytał pan jeszcze dzisiejszych dzienników"?

Mroczne przeczucie wzmogło się w Bukszpanie. Nie był zdolny wyrzec słowa. Szczęsny zniknął kręcąc głową. Bukszpan wpadł do najbliższej kawiarni.

„Gazety"!

Leżały za chwilę przed nim. Drżącą ręką wziął Bukszpan pierwszą. I wzrok jego zatrzymał się na tragicznym wierszu.

„Nagrodę Akademii otrzymała — książka p. Bukszpana".

Bukszpan siedział nieruchomo. Trup.

* * *

I tak więc było sądzone, aby Jan Bukszpan zginął od swego pomysłu. Nie było pomocy, nie było obrony. Krąg się zacisnął. Zewsząd groza i strach. Zapragnął wyjaśnić sytuację; uczynił tak. Ten wiersz nie jest Villona; to tylko żart, owoc dobrego humoru któregoś popołudnia, żart głupi i nie na miejscu, ale przecież tylko żart; nie ma żadnego wiersza Villona, nie ma żadnego wpływu Villona, nie wie nic o Villonie, nie zna go.

Oczy towarzystwa zatrzymały się na nim już nie pobłażliwie, ale ze współczuciem. Gdy skończył swą poirytowaną spowiedź, zapanowała przykra cisza. Tylko Kwiat miał dość cynizmu, aby powiedzieć:

„Se non è vero"...

Inni nie byli skłonni naśladować tego tonu; cała sprawa była aż nadto przykra, aby być śmieszną. Naprawdę, Bukszpan nie jest zdrów...

Bukszpan wpadł w wściekłość.

„A więc porównajcie z Villonem! Nikt nie zna Villona? Przeczytajcie go, przekonajcie się! Porównajcie to przecież"...

Jego ton, jego wzrok, wszystko świadczyło: myśli tak naprawdę, poważnie. Ale w takim razie?

Nie, nie jest zdrów; jest nawet bardzo chory. —

* * *

W tym czasie tragedia osiągnęła swój szczyt. Związek kataryniarzy czeskich poprosił Bukszpana „jako świetnego znawcę", aby wygłosił odczyt o Villonie.

Stała się katastrofa.

* * *

W ponurym budynku gdzie z trudem wegetują żałośnie ci, „co myśleli zbyt wiele", żyje melancholijny i niezbyt niebezpieczny szaleniec. Jest to Jan Bukszpan, ofiara swego dobrego humoru w czasie zimowego popołudnia.

Poddał się. Jest przekonany.

Żyje w mniemaniu, że napisał szereg monografij o Villonie i jego epoce, za które otrzymał nagrodę Akademii Francuskiej, wypadek wyjątkowy.

„A nowe przekłady?" pyta doktor.

„Nowe przekłady. Nie miałby pan ochoty posłuchać mych nowych przekładów z Villona"?

I wyciąga z bocznej kieszeni marynarki grubą paczkę rękopisów.

Potem się zamyśla; kładzie paczkę przed sobą, ale nie czyta. Mruczy do siebie z upodobaniem refren:

— Był człowiek to, co nie miał nigdy szczęścia.

VIKTOR DYK

z czeskiego przełożył K. A. Jaworski

PRZEKŁADY Z POEZJI CZESKIEJ I SŁOWACKIEJ K. A. JAWORSKIEGO

DRZEWO WOLNOŚCI

Było drzewko cieniutkie niby wątły pręt,
i słabe, że objąć dłonią.
Zdawało się — nie wytrwa: lada wiatru pęd
ku ziemi już je skłoni.

Lecz krwią ludu zlewane, co przez pięć lat ciekła,
za noc się tak rozgałęziło,
że sięga niemal w błękit czysty.
I głębiej niż latarnia morska w grunt skalisty
w serca się wszystkich dobrych wkorzeniło.

O, witaj, drzewo! Rzucaj wszędzie cień
tym, dla których dotychczas życie było męką!
Niech na gałęziach twych owoce złote gorzą,
po które sięgniem ręką!

Niech człowiek **zacny, dobry, silny** ma pod tobą dom!
A wiatry dzikie, wolne niech bawią się jego koroną
dmąc z czterech świata stron,
z każdego ziemi morza.

F. X. SZALDA

MEDYNIA GŁOGOWSKA

Nad głową jedna, druga gwiżdżą głucho,
każda śmierć znaczy.
Chłopcy skurczeni witają je sucho
z żartem rozpaczy.

Armaty walą, gotuje się bitwa.
Bądź wola Twoja!
Daj silną duszę jej, by mogła wytrwać:
Matusiu moja,

spójrz, gwiazdką będę ponad naszym lasem,
światełkiem lśniącym,
wciąż z każdym rokiem wraz z idącym czasem
bardziej gasnącym.

W myślach list ojca, matki pukiel siwy
i dziewczę tulę.
A fala ciężka i ciepła opływa
serce me czule

ku tym, co cierpią. Serce zryte w blizny
staje się ciche
i lęk i głuchy lęk przed mej ojczyzny
gorzkim kielichem.

Łukaszu, Wawrzku, chłopcy wy wspaniali,
morawskie syny,
rozsądzi Bóg. My cnotę-śmy kochali,
umrzem bez winy.

„Naprzód" I pędzą z rozkazu mojego.
szyk ich się łamie.
Jezusie cichy, serca pokornego,
Zmiłuj się nad nami!...

PETR KRZICZKA

BALLADA O MARYNARZU

PRZEDŚPIEW

Bez końca są obszary mórz,
za falą fala goni.
Grób jednej fali drugiej już
kołyską jest wśród toni.
Kto stworzył pierwszą z morskich fal,
ten stworzył i ostatnią.
Pędź głębią serca, wichrze, w dal!
Wybaw nas, Boże, z matni!

ŚPIEW PIERWSZY

„Pocałuj, Ewo, mnie ostatni raz,
a potem żegnaj — czas mi, czas!
No, nie płacz. Po co? Znów zaczynasz!
Bądźże mi wierna, strzeż ogniska!
Ja jestem mąż twój i marynarz
i droga ma nie bliska".

„Jak ptaszę serce mi się kuli,
ach Mikołaju, mężu mój,
wpierw umrze, nim je znów przytulisz,
nie jedź na morze, — zostań! stój!
Wszak nie minęły trzy niedziele,
jak dałeś pierścień mi w kościele,
a już wyjeżdżasz w obce kraje
i tylko pierścień mi zostaje?"

„Na serce sobie pierścień włóż,
pierścionek ten wierności,
we dnie i w noce jemu służ
i mów mu o miłości.
Nim się spodziejesz, z burzą wiosny,
zapukam do twej bramy,
przylgnę do ciebie tak radosny,
jak do pierścienia kamyk".

„Bez ciebie pierścień ten wierności
jak lód jest, nic nie grzeje,
bez ciebie dla mnie w samotności
noc każda płomienieje.
A ogień z lodem się nie godzi
i mam dwadzieścia lat,
ledwoś całować mnie nauczył,
chcesz już uciekać w świat"?

„To wszystko babska gadanina,
to zwykła męska rzecz,
by żona mogła być szczęśliwa,
marynarz żegna brzeg.
Pieszczotą nie zdobędę chleba
i domu nie poświęcę,
więc dziś mi jak i wczoraj trzeba
pracować na okręcie".

„A zatem żegnaj, Mikołaju,
nie zatrzymuję już,
a na pamiątkę tobie daję
ten oto właśnie nóż.
Na targu dzisiaj go kupiłam
i serce na nim swe wyryłam,
abyś przypomniał sobie o mnie,
gdy będziesz krajać chleb bezdomnie".

„Dziękuję, żono, także ja
gościniec ci przywiozę,
a teraz idź i zawsze psa
spuszczaj na noc z obroży!
Tak jako dom nasz mocna bądź
i wiedz, że ciebie — li miłuję,
bo tylko ten, co kocha tak,
bez żalu w dal żegluje".

ŚPIEW DRUGI

Czas jako woda zawsze mknie,
czas morzu jest tak bliski,
odmęty siwe okręt tnie,
kurs: Bombay—San Francisco,
kurs: Bombay—San Francisco,
a potem dalej w świat,
świat zamiast żony swej Mikołaj
dziś w pasie objął rad.
Świat objął w pasie zamiast żony
i śpiewał pośród burz,
bo w sercu żar miał niezgaszony,
przy sercu zaś stalowy nóż.
Przy sercu nożyk miał ze stali,
a w palcach mocnych ster,
co noc sterował coraz dalej
szukając dróg wśród gwiezdnych skier.
Rok pierwszy widział gwiazd tych roje,
a w drugim rój ich zrzednął,
a w trzecim wśród tych gwiazd bezliku
już widział tylko jedną.

Ta jedna w silnym nieb obszarze
od wszystkich innych jaśniej lśni,
a pod nią cichy domek marzy,
a w domku żona śpi.
Mikołaj w gwiazdę się zapatrzył,
steruje za nią w ślad:
„Gdybyś ty, gwiazdo, mi zagasła;
zgasłby mi cały świat!"

ŚPIEW TRZECI

W portowym szynku marsylijskim
naleją wina gościom wszystkim.
Dziewczęta oczy podkrążone mają,
i na kolanach usłużnie siadają.
Każda przy szklance schylona się gnie,
wszystkie za franka, ale jedna — nie.

Przy maszcie długa noc niezmiernie,
Mikołaj wchodzi do traktierni.
„Dziewczęta, dać tu wina dużo,
za tydzień koniec już z podróżą,
tydzień, jak wino gardłem, przemknie
i wierna żona drzwi odemknie".

Kelnerka mu nalewa wina,
kelnerka sobie przypomina:

„Włos z lekka siwy, marynarzu, masz;
a zdaje mi się, że znam twoją twarz.
Przed siedmiu laty, gdyś był jeszcze młody,
czyś nie zaglądał do naszej gospody"?

„Myślę, dziewczyno: byłem tu i tam;
w ilu szynkowniach, nie pamiętam sam —
i tu, być może, kiedym był swobodny,
niejedną szklankę wychyliłem do dna.
A siwy włos? Gdy się pośpieszę,
za tydzień żona mi wyczesze".

Kelnerka mu nalewa wina,
kelnerka sobie przypomina:

„Czy, marynarzu mój, pamiętasz
po siedmiu latach na okrętach
okienko, na nim niezabudki
i noc w objęciach mych tak krótką"?

„Było się, dziewczę tu i tam;
com dziewcząt pieścił, nie wiem sam.
W portach za czasów swej młodości

każdąm dziewczynę chętnie gościł.
Lecz tylko jedną pokochałem
i żonie serce swe oddałem".

Dolała wina mu kelnerka,
oczy zakryła sobie ścierką:

„Panie mój, krótką macie pamięć;
przysięgi danej się nie łamie,
gdy dłoń dziewczyny całowałeś,
powrócić do niej ślubowałeś".
„Tego nie pomnę, dziewczę, więcej;
pamiętam tylko żony ręce".

Gdy tylko słów tych sens odgadła,
jakby śnieg powiał, cała zbladła,
i nikt w szynkowni nie zobaczył,
jak wyśliznęła się w rozpaczy.
Mróz w sercu, jakby ją ktoś złamał,
skroś noc portową idzie sama,
kto poda ręce? gdzie pójść z bolem?
do fal kipieli poza molem.

„Siedem lat w nędzy, lecz szczęśliwa żyłam,
żem mu tak wtedy uwierzyła,
teraz wyzwolić mogą tylko te odmęty
żywot wczoraj szczęśliwy, a dzisiaj przeklęty".

Jak niezabudki bukiet gwiazd na niebie płonie,
dwoje oczu rozbitych kryją morza tonie
i z kajuty nie słyszy marynarz pijany,
że z oczu tych rozbitych rozlały się piany,
pienią się wzdęte fale i wiatr w tajemnicy
niesie na ich grzebieniu skargę topielicy:

„Zabiłeś miłość i mą wierność,
uniesiesz boleść w świat niezmierną,
żalu grobnico, łez pogrzebie,
kogo ty, falo, ukolebiesz"?

ŚPIEW CZWARTY

Umilkły fabryk już syreny,
w koszarach na noc odtrąbiono,
a w małych domkach obok drogi
naftowe lampki pogaszono.

Tuż za przystanią, na pagórku,
oknem ku morza patrząc stronie,
wytrwale domek biały stoi,
w nim jednym jeszcze lampka płonie.

Ścieżyną wąską pnie się w górę
samotny człowiek po uboczy.
„Trzy lata jadę wciąż za tobą,
dziś, gwiazdo, zajrzę w twoje oczy".

Nie słyszy nikt i pies nie szczeka,
choć poczuł pana już z daleka,
wybiega, czołga się u nóg,
pysk wspiera na kolanie.
„Fidelio, wierny, czujny druh!
Czy dobrze strzegłeś pani"?

Jak pierścień w studnię nocy świecące okno wpada,
Mikołaj skrada się, przez okno wnętrze bada,
cóż widzi na dnie głębi, o Boże miłościwy,
do obcych ust się przyssał całunek Ewy chciwy,
obca dłoń na jej piersiach i na ramieniu gości,
jak lampę ciało żony rozświeca w tej szarości,
płonie czerwony płomień na białym Ewy ciele,
trzy lata wierność żony w tym ogniu się spopiela.

Jak dwa kamienie oczy od okna odpadły,
w pięść rękę swą zacisnął marynarz pobladły.

„Pięknie, psie, pilnowałeś mej chaty;
teraz czekasz zapłaty,
najpierw ciebie, potem ich wynagrodzę,
nożem ugodzę"!

Jak gwiazda w niebie spadająca
błysnęła dłoń i nóż
i legł na progu przygwożdżony
skrwawiony domu stróż.

Fidelio, wierne psisko,
omdlałym wzrokiem patrzy w drzwi
i jeszcze liże rękę pana
językiem całym w krwi.

Dreszcz wstrząsnął marynarzem, kiedy nad psem się schylił:
to nie psie oczy martwe, to oczy te — z Marsylii,
to nie psie oczy martwe, to oczy tej dziewczyny,
przeklęte oczy tutaj dosięgły go z głębiny,
dwoje ócz smutnych wraca i krzyczy w nocną ciemność:
„Coś zrobił, marynarzu, za miłość mą i wierność"?

Do progu przygwożdżony pies błyskiem noża jasnym,
do nocy wrót przybity mąż sercem swoim własnym,
teraz, gdy sam zraniony, wie, jak się z prawdą mijał,
we własnej ranie znajdzie nóż, którym sam zabijał,
bo serce ludzkie nożem jest lub raną wiecznie żywą,
a najczęściej, najczęściej jednym i drugim bywa.

Umilkły fabryk już syreny,
w koszarach na noc odtrąbiono,
a w małych domkach obok drogi
naftowe lampki pogaszono.

W dół po uboczy schodzi człowiek,
zgarbione plecy ma i szyję,
wierną swą miłość zamordował,
ale niewiernej nie zabije.

W porcie już ciemne śpią okręty,
okręty, wiedźcie mnie najdalej,
bo zawsze, zawsze przeraźliwie,
ócz wiernych, martwych wzrok mnie pali.

ŚPIEW PIĄTY

Wśród morza między skały dzikie
złowrogie wichry dmą i wyją,
pełznące fale biją z sykiem
o głazy jak zielone żmije,
a z kłębu gadów tych syczących
niebo ze skałą, z wodą łączy
latarnia morska.

W stalowym wnętrzu jej komory
jest miejsce tylko jedno,
by jasnym światłem reflektorów
człowiek zło morza mógł zażegnać.
Ach, wiele musi mieć zgryzoty
i sił mu wiele musi starczyć,
by zdołał przeciw fal przemocy
sam dźwignąć tarczę.

Raz tylko w roku tutaj okręt
przywozi żywność nową,
raz w roku strażnik tej samotni
zamieni z ludźmi słowo.
W śmiertelnej swej godzinie
sam na wieży rozwinie
czarną chorągiew.

Z pokładu marynarze patrzą na morza obszary,
do pięćdziesięciu majtków przemawia kapitan stary:

„Hej, dzielni marynarze, popatrzcie w szeroką dal;
widzicie czarną chorągiew, strażnik latarni zmarł.
W tym miejscu morze jest wściekłe, musi strażnika mieć,
który z was, marynarze, będzie latarni tej strzec?"

Pięćdziesięciu milczało, niby pięćdziesiąt drzew w boru,
nikt z szeregu nie wyszedł, nikomu nie było sporo.

„Hej, dzielni marynarze, a może jest ktoś wśród was;
dla kogo świat legł w gruzach, dla kogo niebo bez gwiazd?
Ten pancerz samotności niech włoży na swoją pierś,
zagasły tobie gwiazdy, dla innych sam gwiazdą świeć!"

Pięćdziesięciu to słyszy, lecz nogi im wrosły w ziemię,
żaden się nie odezwie, jak gdyby każdy oniemiał.

„Hej, dzielni marynarze, a może jest wśród tych burt;
komu wciąż zbrodni pamięć gryzie sumienie jak szczur.
Niech pilnuje latarni takiego człowieka dłoń,
zabiłeś komuś życie, więc teraz sam życia broń!"

Pięćdziesięciu to słyszy. Mikołaj ma bladą twarz:
„Kapitanie, ja pójdę, ja będę pełnił straż!"

Pośpiew

Bez końca są obszary mórz,
za falą fala goni,
grób jednej fali drugiej już
kołyską jest wśród toni.
Nad morzem światło lśni dokoła,
pilnuje błędnych dróg,
mieszka w latarni tej Mikołaj,
a z Mikołajem Bóg.

JIRZI WOLKER

ŚLUZA

Trapię się, trapię, myślę sobie,
gdziebym najchętniej cię spotkał.

Ulice zmieniam, park przebiegam tu i tam,
boję się pięknych kłamstw.
Boję się lasu. Bo w południe w lesie,
kto kocha, serca swego nie uniesie.
Me progi gdybyś przestąpiła,
może byś tym już mnie zabiła.
Chciałbym cię spotkać na łąkach.

Na łąkach wiatru kołysanie,
we wszystkie strony, korne się poddanie.
Na łąkach jest najprostszy życia stół,
przełamiesz chleb, kobiecie oddasz pół,
chleb pachnie ziemią, bezpieczny uśmiech świeci,

do łez rozrzewnia prosty wianek z kwiecia,
a chmurki płyną, przebiegło światło, cień je wchłonął,
mężczyzna siewcy ma tęsknotę,
kobieta żyzne łono.

Chciałbym cię spotkać na łąkach. Wyszedłbym naprzeciw.
I żebyś mi odeszła, ach, pod wieczór już,
aby myślami ode mnie odlecieć,
tylko mój głos proszący, dziękczynny pamiętać,
jak gdybym śluzą tylko był,
którą wśród łąk słyszałaś śpiewającą pięknie.

FRANIA SZRAMEK
(„Splav" — 1916)

SUR LE PONT D'AVIGNON

Na awinionskim moście
pląsają,
O awinionskim moście
śpiewają,
lecz piosenka jest krótka
i taneczek jest krótki,
A woda wiecznie szumi.

Na awinionskim moście
stał papież,
Po awinionskim moście
szły wieki,
a dziś się tu rozstaje
z Prowancją — Czech-poeta.
A woda wiecznie szumi.

Na awinionskim moście
— bądź z Bogiem! —
na awinionskim moście
au revoir!
cyprysie z oliwkami,
czarowna słodka ziemio,
A woda wiecznie szumi.

Na awinionskim moście
— dziękuję!
Na awinionskim moście
zdrów stoję
i śnię, jak szedł tu kiedyś
król czeski Karol Czwarty.
A woda wiecznie szumi.

Na awinionskim moście
pląsają.
O awinionskim moście
śpiewają,
jak na tym praskim moście.
Piosenka długa, długa.
A woda wiecznie szumi.

(„Kalendarz stuletni")

KAREL TOMAN
(1877—1945)

NAD MIASTEM

Pod sklepieniem platanów,
w zapachu letnich róż
wieczór barwny lampionów i muzyki
jak słodki ciepły deszcz nas zlewa.
Grajcie
szczęśliwych prostych ludzi tańce barbarzyńskie,
grajcie
iluzje lekkie, które szumią niby granadyna.

Tutaj w parku nad miastem, które zmierzch osnuwa,
szepcące spływa tchnienie
i piękno twarz swą zbliża,
w dole pałace kamienne straciły swój ciężar
i drzew korony szumią,
czarujące koronki kulisy,
za którą noc gra z nami
swą sztukę zapomnienia.

Abyśmy nie wspomnieli
o próżności pracy ludzkiej,
o jej honorze zagubionym
tam w dole jak na całym świecie,
abyśmy nie wspomnieli
o rękach, które osłaniają,
o snach
nie śniących już o pięknie odpoczynku,
przeciwnie,
abyśmy nie wspomnieli
o snach tych, w których kowal
z rozkoszą taką swe kowadło waży,
krawiec jak cud do ręki
bierze swą igłę
i w których składa inżynier maszynę,

co wyskoczyła mu z głowy,
albo malarz z uśmiechem
znajduje nowe kształty rzeczy.

Graj przeto, nocy,
graj nam swą krótką sztukę zapomnienia,
głęboki oddech nam daj,
byśmy uwierzyć mogli,
że przynajmniej ta ziemia, która nas wydała,
nam kwitnie i dla nas nie wysycha.

Albo też, aby wszystkim,
co piją białej skóry blask i blask klejnotów,
noc objawiła gwiazdami zsypana,
objawił sen, co nas nawiedza,
owe twarde obrazy, które tam w dole spotykamy idąc.

Więc robotnika tego z przedmieścia Wacława,
co z głodu stracił wstyd
i tarza się wraz z dzieckiem w kurzu,
co załamuje ręce przed biednymi
i nikczemnością ludzką płci obojga,
a wy mu pozwalacie, by to dziecko jadło kurz,
chrząkanie i nienawiść.

A może to był ten,
któregom widział rano, kiedy szedł do pracy,
całował swoją żonę
i podnosił wysoko to dziecko,
które teraz tu tarza się w kurzu,
przeklęte przez niego i przez was.
Ten, który śpiewał biorąc do ręki maszynę
i towarzyszył pieśnią
czarnej muzyce swojego warsztatu.

Komu, komu sprzedaliście to ludzkie szczęście —
pracować,
tworzyć
i cieszyć się z tej okrągłości rzeczy,
co wyszły z naszych rąk?

(„Tonouci stiny" — 1933)
JOSEF HORA

DO MŁODZIEŻY

I choćbyś nie miał już ochoty
śpiewać, staruszku bez nadziei,
zaśpiewaj o miłości złotej,
chociaż głos drży ci i niemieje,

i gotuj się też na gościnę,
na powrót synów utraconych,
że ziemia spita krwią jak winem?
więc jak przy winie uderz w tony;

niech młodość ucztę ma godową,
cielątko tłuste na zabicie,
że czas jest zły, że jest głodowy?
śpiewajmy jednak tak jak syci

i z trumien zrzućmy srebro smutne,
niech gość zapomni, co zmartwienie,
że dom nasz okradł zbój okrutny?
śpiewajmy jednak okradzeni,

o sercu, śmiechu, o nadziei,
o winie niechaj zabrzmią śpiewy,
niech piją długo, niech się śmieją
te usta, które jadły plewy.

JAROSLAV KOLMAN CASSIUS
(„Nóż na stole" — 1947)

OPATRUNEK

Jeszcze widzę wciąż wojnę, kiedy oczy zawrę,
dzień świętej Anny jątrzy w milionach nową ranę.
Bandażem śnieżnym zamiast laurem
Apollinaire ma głowę owiązaną,

Cień rozpaczy znów gna nas szalonych,
byśmy przeszli Golgotę grozą łun owiani,
aby mile bandaży i gazy skrwawionej
Europy i świata czoło owiązały

ludzkimi łzami.

JAROSLAV BEDNARZ
(„Retorta" — 1946)

KAŻDY SIĘ BOI O SWĄ SKÓRĘ

Każdy się boi o swą skórę,
ale kto czyste serce ma,
w płomieniu jasnym zapomina,
że się nań bestia dzika wspina,
i zdusić gotów choćby lwa.

Każdy się boi o swą skórę,
ale kto czyste serce ma,
poznanej prawdzie nie zaprzeczy,
kłamstwo odeprze, zło zniweczy,
wrogom na wstręcie zawsze trwa.

Każdy się boi o swą skórę,
ale kto czyste serce ma,
zna dzień, co każe mu się nie bać,
gdy i krew oddać będzie trzeba,
zna dzień, zna dzień i krew swą da.

(z antol. „Chleb poesie")
STANISLAV KOSTKA NEUMANN

GŁĘBOKO W LASACH

Nic tutaj stać się już nie może,
nie zmąci ciszy kroków stuk...
Mrowiska kopiec się rozłożył
i nie tknie go jeleni róg.

A przecież kiedyś tutaj rano,
gdy w marcu słońca krąg się żarzył,
zabiła sfora esesmanów
rosyjskich dwóch spadochroniarzy.

Nic grobów tych już nie poruszy,
strach leśny ukrył w nich swą twarz...
Cisza tak sucha, aż się kruszy,
zniesie bezsłowny tylko płacz.

płacz, poprzez który jednak widzę
dwie matki gdzieś w dalekiej dali.
Polowa poczta tam co tydzień
przynosi listy, lecz nie dla nich...

Zwycięskie gwiazdy dwie wciąż płoną
nazwiskom dwom czerwienią swą.
Czytam przez łzy: Siergiej Płatonow
i Nikołaj Pietrow się zwą...

(„Tobie" — 1947)
VLADIMIR HOLAN

CMENTARZ

Od dołu różom przydasz woni
i będziesz śmiercią żyć uparcie
i miłość w nocy rzucisz tonie
swą tarczę.

Cicho otoczę cię pieśniami
barwinku którym się na grób położę
zapisany tobą pergamin
którego czas nie zmoże

I będziem razem spali
wiatry na traw syrindze nam zagrają
i będziem w Lety szept się wsłuchiwali
i w pieśni praczek które całunem machają.

FRANTISZEK HALAS

Z POEMATU „EDISON" PIEŚŃ 5

Życie nasze śmiesznie kręci się jak bąk
raz siedziałem w nocy nad stosami ksiąg
i ujrzałem nagle w woni gazet tonąc
śnieg i fotografię wielką Edisona
było po północy już lutową dobą
zaskoczyłem siebie na rozmowie z sobą
jakby mocne wino poszło mi do głowy
rozmawiałem z cieniem bezładnymi słowy

Niby refren stale dźwięczał jeden ton
gdym na balkon wyszedł gdzieś zadźwięczał dzwon
chwiało się przede mną morze świateł w dali
pod nim na swych łóżkach ludzie dawno spali
noc się kołysała niby bujna preria
pod obstrzałem w górze gwiezdnej artylerii
milcząc wsłuchiwałem się w głos dzwonu z wieży
patrząc się na cienie w dali na wybrzeżu
cienie samobójców na nich nie ma rady
cienie prostytutek wystrojonych bladych
cienie aut co z nóg zbijają cienie pieszych
cienie tych bezdomnych co pod mosty śpieszą
cienie przygarbione które tkwią pod ścianą
cienie pełne wrzodów z luetyczną raną
cienie ofiar wojny wieczny wyrzut cieni
które krążą wokół mordu i sumienia
cienie poza maską które mundur noszą
cienie rozpustników co o rozkosz proszą

cienie świętych co się poetami stali
cienie tych co zawsze próżno miłowali
cienie meteory dziew popadłych w grzech
cienie cudzołożnic których dzwonił śmiech

a w tym piękno było które rwie na ćwierci
zapomnienie smutek z życia i ze śmierci

Bądźże piękna bądźże smutna dobra noc
bardziej lśnij od meteorów których moc
w dusznych nocach świateł poznać nam sądzono
reflektory cieniów miotły rozwichrzone
które nas smagały do gorączki szału
do widzenia migocące dróg sygnały
co wabicie w dal mnie niby parne róże
do widzenia gwiazdy pocałunki duszy
co w ogrodach srebrem mi skraplacie skroń
balsamiczny zapach goździkowa woń
do widzenia skrzydła jasne samoloty
Edisonów słodkie i okrutne wzloty
oleiste zdroje nafty i rakiety
ziemie pańskiej i bezpańskiej etykiety
do widzenia gwiazdy spadające z wieży
do widzenia cienie świateł na wybrzeżu
cienie czasu co odmierza niewstrzymany krok
słodkie cienie wspomnień w sieci sennych ok
cienie modrych niebios w oczach pięknych dziewcząt
cienie cieni gwiezdnych migocące zewsząd
cienie uczuć dotąd niezaznanych jeszcze
cienie pierzchające jak echowe dreszcze
cienie blade cery co opalem świeci
cienie westchnień dotąd niezrodzonych dzieci
cienie matek co się modlą za ojczyznę
cienie duchów które błądzą przez obczyznę
cienie pieszczot które w śnie nachodzą wdowę
cienie widm i tęsknot za ojczystym słowem

Bądźże piękna bądź okrutna nocy kres
lśnij od przysiąg żon od meteorów łez
o miłości z którą depcem wierzchoł góry
zbierająca gniazda gwiazd i mgławic chmury
żegnaj mi piękniejsza niźli snów ogniki
na noc znów nastawić trzeba nam budziki
spójrzcie ile ludzi w ciszy się obraca
a to jest poezja a nie żadna praca

Znowu potem we śnie lilie rwać w męczarni
znowu potem rano wlec się do kawiarni
znowu potem chłeptać swą codzienną kawę

znowu potem wokół patrzeć okiem łzawym
znowu potem truć się bezsenności męką
znowu potem palić co tam jest pod ręką
znowu potem słyszeć jęk tłumionych płaczów
znowu widzieć cień swój cień nieszczęsny gracza

Nasze życie dni i nocy wieczny obieg
do widzenia gwiazdy ptaki usta kobiet
do widzenia śmierci pod kwitnącym głogiem
do widzenia z Bogiem do widzenia z Bogiem
do widzenia dobra noc i dobry dzień
dobra noc
i słodki sen

VITIEZSLAV NEZVAL

KOCHANKOWIE

Pod darnią leży już od wielu lat
Julia ma. Prószy deszcz niemrawy.
Srebro księżyca jej amulet skradł
i płonie tam, gdzie oroszone trawy

miękko się kładą kołysane grą.
A pędziwiatr, gdy tańczy nad falami,
oczy się martwe otworzą pod łzą
i kochankowie potem szepcą sami

długo do rana pod żałobą wierzb.
Czuwają razem nocą, w której błyska
potworów gniew, co się zrywają z leż.
Płacz fal uparcie bije o skaliska

i gwiazdę jutrzni płoszy jego ryk,
tak, że wciąż schadzka będzie się ciągnęła,
jak ból, co kiedyś w sercu moje wnikł,
ból pijanego nieszczęściem Romea.

(„Svatebni loże")

FRANTISZEK NECHVATAL

W MARCU PEWNEGO DNIA

W marcu pewnego rana
— nie płacz, to nie rozłąka —
proch będę już bez sił,
ty kropla w deszczu rosy,
ja w górach szary pył,
ty wichrem rozmiotana

niebiosów spłuczesz głąb
i zbudzisz ze snu kosy,
i zbudzisz ze snu kosy,
jak źródła pieśń do słonka.

W marcu pewnego rana
— nie płacz, to nie nowina —
ja będę czarną ćmą,
ty kroplą zorzy rannej,
co pada jasną skrą
i ciągle dolewana
rozświeca gwiazdę mą
jak lampkę u stóp Panny,
jak lampkę u stóp Panny,
jak płomień krwi i wina.

W marcu pewnego rana
— nie płacz, niech śmiech zapłonie —
będę rozkwitły kierz,
ty na mej dłoni pąkiem.
O miła, wierz mi, wierz,
ty wiecznie miłowana
nawiedzisz znów mój sad
tym cichym łani krokiem,
tym cichym łani krokiem,
i usnę na twym łonie.

(„Svetebni loże" — 1926)
FRANTISZEK NECHVATAL

NA WIEKI

Jak orle gniazdo pełne czaszek,
które cię zmusza do pogardy
dla życia, sekund i wieczności,
na pagórku nad rzeką
jest cmentarz.

Ci, co tam śpią,
kobiety, róże ze snu się nie zerwą.
Alleluja!
W nocy tam gwiazd ulewa.

Jest wieczór letni, dzwon pogrzebny dzwoni,
w wilgotnym oparze
chwieje się żółtych świeczek płomień.

Wy w dole siedźcie przy pucharze
i pijcie.

Za miłość byle kogo,
za miłość kogokolwiek
pijcie swe leki,
pijcie alkohole,

na wieki, na wieki
pójdą tą drogą
miłość, nienawiść,

na wieki, na wieki
pójdzie tą drogą
śmierć.

A dwa cienie kalekie,
cień mój i cień twój,

w tej chwili padły na gładź rzeki
i pierzchły nagle
śpiące ryby.

(„Gołąb pocztowy")
JAROSLAV SEIFERT

DZIEWCZĘCA

Bawi się piersią swą dziewczyna,
a to zabawa pełna smutku.
Na łóżku, gdy się zbliża zima
na łóżku chłodnym drżeć zaczyna,
kolana czule zwarte trzyma,
a mrok rozchyla je leciutko.

Wkrada się w nie jak deszcz do łodzi
i wstydu słodkie szepce nuty,
od pięt do głowy po niej chodzi
i nie chce zniknąć, nie przechodzi,
jak woda, która fale wodzi
do smutnej łodzi bez kajuty.

Bawi się dziewczę mrokiem, słowem
i pocałunki śle swym ustom,
ale nikt na nie nie odpowie,
żaden ich rybak w sieć nie złowi,
tylko płacz cichy o nich powie
mokrym od łez we śnie poduszkom.

JIRZI ORTEN
(„Ohnice" — 1941)

TOPIELICA

Przez twarzy urok
płynęłaś w dół rzeki
pomiędzy brzegów zatraconych górą
w kraj nocy daleki.
Przez twarzy urok.

Niedostrzegalna i błędna
uchwyciłaś się dłoni
topielców ze dna
w powodzi nocy,
w bezgranicznej toni,
niedostrzegalna i błędna.

Kochanki zwykle popod mostem marły,
tam nie ma już uroku twarzy w wodzie,
został zmiażdżony przez to, co wydarły
fale nieszczesne śmiertelnej urodzie.

Ale tyś pono się oddała
rozwarłszy łono ciepłe jeszcze
topielcom, zimnym wstrząsanym przez dreszcze.
Jałmużna ta miłości, chociaż mała,
umierać ci pomagała.

JIRZI ORTEN

ĆWICZENIE O ŚMIERCI

Tymczasem w duszy deszcz mi pada,
ze zmierzchem coś rymami gadam,
spowiadam mu się z stąpań mroków,
których nie słyszy nawet kroków.

Jest jedna pani, co mnie gmatwa,
ma imię, imię to nie łatwe,
pamięć odrzuca je w udręce,
muszą z pomocą jej przyjść ręce.

Ręce na gardle gdy położę,
ścisnę, — już wiem na jakim łożu
kiedyś przytuli mnie, owinie
miłością straszną za te inne,
co mnie upieścić nie zdołały.
Ta pani blask mi zetrze z ciała,
że czarny stanę się do rana.
A imię dźwięczne jej — Morana.

JIRZI ORTEN

LITANIA

Władysławie Vanczuro,
mowa czeska w żałobie;
Józefie Czapku,
maluczko, a doszedłbyś w czas,
kulawy pielgrzymie,
malarze nie widzą przez łzy;
Vicie Nejedly,
coś padł w ciemnej Dukli,
nut chorągiewki przestrzelone,
Jan skrzypek biada;
Włodzimierzu Helfercie,
śmierć przeszła przez podkowę przybitą do progu,
śmierć kumoszka stanęła w tych głowach;
Rudolfie Karlu,
Jan skrzypek biada;
Bedrzychu Vaclavku,
nazwany Bohaterem,
pod jakim ciosem skończyłeś swój żywot?
Juliuszu Fucziku niezłomny,
Jarosławie Kratochvilu najcichszy,
cóż ściany teresińskie wobec ścian języka za zębami!
Wygnańcy wracają:
Oświęcim,
Oranienburg,
Bukowy Las, —
na tamtym brzegu
szlacheckie budy zamęczonych.

Juliuszu płonący,
Bedrzychu wytrwały,
Włodzimierzu, coś ujrzał,
Jarosławie najcichszy,
uczcie nas przezwyciężać,
utwierdzajcie wiarę,
Vicie, żołnierzu z Dukli,
daj nam siłę,
pielgrzymie Józefie o cudownej ręce
z pędzlem maczonym w wiośnie,
ucz nas słodyczy!
Rycerzu mowy czeskiej,
Władysławie,
hartuj nam pióro,
hartuj nam serce!
Z Małgorzatą Lazarovą
wjeżdżają na niebiosa
na czele niezłomnych.

wygnali Niemców z Czech.
W chmurze dusz,
mgławicy Lidic,
obok Studentów konstelacji,
na Mlecznej Drodze Niewiniątek
gwiazdy ich oczu
świecą przez sito nieba dziurkowane
i stoją na straży
strzelnic anielskich.

(„Radost i żal" — 1945)

MARIA PUJMANOVA

CZESKA WIOSNA

I górom też na horyzoncie dumne ścięto głowy...

Karczami nagich drzew tu chrzęści las...
Kto ręce mu aż po ramiona złamał?
Kto nogi mu utrącił po kolana,
że spłynął krwią jak wrzos w jesieni czas?

Od wschodu już wilgotny wiatr się czuje,
lecz ziemia zdarta, stratowana
przez szpary tchnieniem grobów zalatuje
i z ócz przedziurawionych zieje strach.

Do śmierci aż jest dusza z mdłości słaba.
Czarno-brunatny mór tu w koło włada
i tylko mróz ochrania nas przed gniciem,
nim głód nam wydrze i zaraza życie.

Gdzieś w dali słychać trąbią już trębacze wiosny.
Wnet zacznie tajać śnieg na każdej tu mogile
i nad zbudzoną ziemią deszcz zakwili.

Słońce się z nieba rzuci na nią
i chwyci w zęby wyczerpaną
jako tonący włosy traw.

Lecz oto młoda wiosna żyje
i miazgę pleni
i w prędkiej ofensywie swej zieleni
ostrymi brzóz prętami,
bije i bije.

I drzewa spoza płotów
strzelcami pęków obsypane
ze wszystkich swych strzelają kulomiotów —
i ciury pochowane,
a pośród łąk wspaniała lśni piechota traw...

podczas gdy w Pradze o tej wiośnie
miazga od dołu tylko rośnie.

Huczą i huczą wiatry pełne grozy,
koncentracyjne walą tchem obozy,
wynoszą martwych z krwawych szańców
i rwą łańcuchy z nóg skazańców,
z ich kości całun już zrzucają
i życia dech do ciał wlewają
i gniew rozpłomieniają.

Galopem zaczną zbiegać się strumienie wody,
a góry zalesione partyzantów gąszczą
w bój idą jak na gody.

A Praga stoi naga jeszcze,
wyschnięta, nie spryskana deszczem,
lecz rośnie miazga już z podziemia
w tym mieście chorym z wycieńczenia,
w strzelistych pniach olbrzymich wież.

Jak słodki zawsze zapach miały
na Letniej, na Petrzynie sady,
lecz od bzu piękniej pączkowały
wtedy w ulicach barykady.
Wszak na nie pójść nie łatwo jest,
lecz mężе wyszli z śmiałym wzrokiem
i z trampoliny jednym skokiem
z wód śmierci życia wzięli chrzest.

O, ciężko, wiosno, wolność nieść ci
za zrębem zrąb,
za dębem dąb
od środka miasta do przedmieści.

Tu samo słońce bombarduje ziemię,
aż płonąć zacznie jednym w krąg płomieniem
i obóz wszystkich nas w polowych — łun namiotach.

Drży cała ziemia, dźwięki dzwonów
i wlewa się w nią fala Donu,
potężna radość każdym miota.

Wszystkie przedmieścia i ulice
za chwilę kwitną tysiąclicą,
radosną ludzi wrzawą.

Tu matki coś świergocą do swych dzieci,
tam kochankowie rozmawiają kwieciem,
różyczką jeszcze krwawą.

Po stopniach znów lazuru
zstępuje do nas słońce
ze złotem i purpurą.

U nóg zwycięzcy składa ziemia brzemię
i pieśni w krąg na ustach się kolebią:

zdobyła wiosna ziemię
i nie straciła niebios.

(„Povstani z mrtvych" — 1946)

VILEM ZAVADA

POZDROWIENIE Z POLSKI

Tadeuszowi Różewiczowi

Na palcach stąpam i patrzę
na ziemię szeroką,
gdzie wciąż się kurzą
wygasłe pożary,
gdzie w gruzach tlą się wciąż jeszcze
skrzydła wczorajszej burzy,
a oślepli od dymu dotąd się nie widzą
oczyma do dna.

Tylko dzieci ich uczą wymawiać:
Pokój
tak łatwo,
jak gdyby był od dawna.

Słyszę, skowronek gdzieś w powietrzu śpiewa
nad człowiekiem, co ziemię odwala
ognistym radłem.
Widzę, cegły rdzawe, najkrwawsze
dają świadectwo światu,
że była i będzie zawsze
Warszawa bliźniaczką Pragi.

Toś ty powracał z dłonią w mojej dłoni
i miałeś podobny obraz.
Za tych, co nie wrócili,
pierścieniem krwawym wycisnąłeś pieczęć
na przyszłe listy.

Dzisiaj otworzę okna,
które od nas prowadzą do ciebie
i zostawię na rozcież otwarte:

By było słychać
ździebełka roztańczone,

ręce, co ciężar dźwigają,
i by przewietrzyć stare spaleniska
przeciągiem ludu.

By było widać
aż po dno gwiaździste,
gdzie dzwonią Wisły poszumy srebrzyste.

By było można
popatrzeć się z rana
na obłoki nad Polską pługiem rozorane.

(„Snih" — 1948)
JAN PILARZ

25000 KOMUNISTÓW CZESKICH ZGINĘŁO W WALCE O WOLNOŚĆ

Wszyscy są z nami.
Nikogo nie brak.

Ciągną wielką ciszę za sobą,
woń ostatniego tchnienia,
które zgasiło gdzieś lampę, świecę,
zwilżyło głownię
i trochę śniegu roztopiło,
co by się zmieścił w łzie.
A że zamarzła potem,
ulało kulkę.

Że potem do wiatru
przyłączyło się to tchnienie,
prędzej wiało wówczas przez Sokołów,
aż starczyło popędzić na Duklę.

Wszyscy są z nami.
Nikogo nie brak.
Ciężar skwaru pada na tę chwilę,
która wstała z ruin Tobruku,
tyle pyłu dźwiga się z pustyni,
tyle pyłu z kości,
kładzie się samum na nie,
kładzie się,
nie rusza —
jak pies.

Nie poruszy się nawet dym,
w który weszły ciała wspaniałe
ognistych młodzieńców

na nienawiść,
na śmierć
zahartowane na zawsze.

Tylu ich przeszło,
dwadzieścia pięć tysięcy,
od Flandrii i jeszcze od błota
— pełno, pełno negatywów w nim
pośmiertnych masek —
i dalsi, dalsi idą
z nietoperzem z tyłu,
pochodnie z samolotów,
wąchacze migdałów
gorzkich, gorzkich, gorzkich —
i ci, którym głowę miecz rozpłatał,
i dopędzają ją z jarzmem na nogach,
dwadzieścia pięć tysięcy, dwadzieścia pięć tysięcy,
ale żadne serce nie jest puste,
wszystkie pełne,
wszystkie wielkie,
jak pustynia, jak step, jak miłość
szerokie —
dziewiąta symfonia.

Tympaniści
świata nowego.

(„Pulsy" — 1947)

OLDRZICH MIKULASZEK

WYCHODŹCY

Pole wąskie niby wstęga,
niby pas —
zostawili ojciec, matka
wielu z nas...

Drzewo w pańskim rąbać lesie
ani rusz...
a w chałupie nie ma chleba
tydzień już...

Dwóch do słodkiej poszło Francji
gdzieś tam hen:
jeden z nich już śni daleko
wieczny sen —

drugi tam na cudzym robi:
znój i mrok —
tak dzień po dniu i po roku
jeszcze rok.

Różolicy brat do promu
poszedł stąd,
aż go kiedyś porwie wartki
Wagu prąd —

najmłodszego, dziecko prawie,
wygnał głód,
aby krzyczał na obczyźnie:
„Garnki drut..."

Biedna jest Słowacja, biedna:
nędza, cieśń...
Gdzież od naszej jest smutniejsza
jaka pieśń?...

FRANTISZEK HECZKO

JEDYNIE MARTWI

Jedynie martwi mają głos...
Tak rzecze Zaratustra.
Nie ma nadludzi wśród żyjących,
lecz zmarły sobie wśród gwiazd lśniących
na wieki gniazdo usłał.

My tu walczymy o łut szczęścia,
a kto jest tutaj, ten jest zwierzem.
Na druha druh swe zęby szczerzy,
w grobie rozewrze chyba pięści,
tylko w tej ciszy cisz.

Męczy mnie walka nieskończona,
walka bez granic niby step.
Ten, co o sławę walczył, skonał.
Jakaż nam walka przeznaczona?
Zmarli nam dali sól i chleb.

W gardle mym sucho. Pali jad.
Chleb od umarłych tak mnie męczy.
Gdybym też umarł, piłbym z tęczy
i rósłby przy mnie w górę kwiat,
koronę rosą łez by wieńczył.

Alem jest żywy, jaki wstyd!
I śmiech mój dla mnie jest niesławą,
trup tylko ma do śmiechu prawo.
Szczęśliwy, dłoń całował śmierci,
w niej widząc piękna zwid.

Jak długo będę żyć, sam nie wiem.
Z Olimpu swego zejdźcie, zmarli,
i nie dawajcie mi spokoju,
dopóki zimnej ręki mojej
z kośćmi swoimiście nie zwarli.

Zejdźcie z Olimpu, wy Jowisze,
do waszych tylko nóg upadnę,
ja czerw, co wiary nie ma żadnej,
co czeka wciąż na deszcz, ulewę,
aby w niej znaleźć ciszę.

JAN SMREK
(„Studnia" — 1945)

PRZEKŁADY Z POEZJI FRANCUSKIEJ

POŻEGNANIE ŻYCIA

Żegnajcie! idę do tego kraju
Skąd nie powrócił ojciec mój zmarły.

Cni przyjaciele, kłamnymi usty
Żal głosić, nie jest dziś we zwyczaju.
Wrogowie moi — słyszę śmiech pusty...
Będzie to zwykła pieśń pogrzebowa,
Poplotkujecie tydzień niecały,
Gdy zaś z kolei na mroczne brzegi
Pójdziecie kończyć wasze zabiegi,
Z was także tłumy będą się śmiały...
— Choć na scenie tego świata
Grasz swą rolę w pocie czoła —
Odchodzisz — wnet cię dolata
Świstanie z cnych widzów koła...
Widziałem przedśmiertne chwile
Ludzi ze wszystkich ja stanów...
Ministrów, starych kapłanów,
Starych dworaków agonię...
Próżno z wielką ceremonią
Z rozgłośnym dzwonkiem na czele
Zjawiała się dekoracja
Tak zwykła w każdym kościele,
Na próżno ksiądz proboszcz z wiarą
Namaszczał duszę ich starą...
Publiczność chwilę się śmiała,
Satyra w lot uchwyciła

Śmiesznostki życia i cienie —
Wnet szło wszystko w zapomnienie
I tak się farsa kończyła...
Komedia była zagrana —
Finał — czyściec lub Nirwana...
— — — — — — —
O, jednodniowe motyle,
Tłumie niewidnych kukiełek,
Których przelot od jasełek
Ku nicości trwa mdłą chwilę,
Na próżno wciąż pytam o to
Cóż więc jest waszą istotą?...
— — — — — — —
Kto jak ja dobiegł już kresu,
Z śmiertelnych ten mniej opłakany,
Co się niczego nie lęka,
Co żył i umiera nieznany...

VOLTAIRE
przełożyła Janina Izdebska

STYMFALIDY

Ze stoku bagnistego, którym szedł w dolinę,
tysiącami się przed nim podrywały ptaki
i mknęły, niby wicher niespodziany jaki,
ponad fale jeziora pluskotne i sine.

Lecz oto najzuchwalsza ze skrzydlatych czered
skręciła lot i skronie musnęła Łucznika,
co strzałę już niechybną do ścięgna przytyka
i krokiem dumnym w gęsty wstępuje oczeret.

Natenczas ze spłoszonej pociskami chmury
deszcz runął jazgotliwy, ciężki i ponury,
a ścięgno błyskawice bez ustanku sieje.

I ujrzało wnet słońce przez oną czerniawę,
w której łuk powybijał otwory jaskrawe,
Heraklesa, co krwawy, w błękity się śmieje.

J. M. HEREDIA
przełożył Tadeusz Bocheński

NA STARYM MOŚCIE

Mistrz Złotnik, ledwo jutrznią zagrały klasztory,
już pędzlami, skąd kapią lazurowe pręgi,
na czarnej mis emalii lub na złocie sprzęgi
łacińskich liter kwiaty splatał w jasne wzory.

Na Moście biciem dzwonów dźwięczały przestwory,
jaskrawy tłum falował, mijały zaprzęgi,
a słońce, wstając przez wiosennych chmurek wstęgi,
na czoła Florentynkom kładło tęcz kolory.

I ze sercem ściśniętym słodyczą marzenia
czeladnik zadumany złączyć zapominał
prawice narzeczonych na głowni pierścienia;

podczas kiedy swym rylcem ostrym jak puginał,
nic nie widząc, Cellini, spokojny i blady,
rzeźbił walkę Tytanów w rękojeści szpady.

J. M. HEREDIA
przełożył Artur Sandauer

WIEWIÓRKA

Wiewióreczko, co wiosną królujesz i w lecie,
Której harce nad ziemią nasze oczy cieszą,
Co ty myślisz tam, w górze, o ludziach na świecie?
— To szaleńcy, co brakiem wesołości grzeszą.

Wiewióreczko, skarbie lasu, o puszystej kicie,
Wdzięku życia, złocisty kwiatuszku natury!
Co spostrzegasz, schowana gdzieś na świerku szczycie?
— Pył nad ziemią i kroki wśród tej pyłu chmury.

Wiewióreczko, siostro chyża dzięcioła-gaduły,
Kuzyneczko słowika, przyjaciółko wrony!
Co widzisz przez mgły gęste, co niebo zasnuły?
— Strzelby, słońcu grożące, i włóczni miliony.

Wiewióreczko, co śmigasz, tył zadarłszy w górę,
Parskasz śmieszkiem tłumionym i drwiącym potrochu,
Powiedz, co ty tam widzisz pod niebios purpurą?
— Przez kraj sunie żołnierzy i sztandarów pochód.

Wiewióreczko, w której oczach żywy blask się mieni,
Złote soki chłonąca, z szyszką w łapkach obu,
Co widzisz na równinie, wśród tych wsi zieleni?
— Wzbiera morze krwi ludzi wojujących z sobą.

Wiewióreczko, jesienią czy zimą nadobna,
Która ciskasz szyszkami aż w błękit daleki,
Co widzisz? — Jutro całkiem do Wczora podobne.
Szaleńcami są ludzie i będą na wieki.

PAUL FORT
przełożyła Jadwiga Ważewska

ZE STANC

Marzę o mórz niebiosach, kędy mgieł zachody,
O grozie pianą wzdętych oceanów gniewnych,
O rybaku na barce, o krabach wśród wody,
O Glauka, o Nerei ócz błękitach zwiewnych.

Marzę o wagabundzie, który szuka drogi,
O starcu, co na progu siadł swej chaty ciemnym,
O drwalu pochylonym pośród leśnych mogił,
O gwarze miast, o duszy, o trudzie bezsennym.

* * *

Chmury, które pogodny wiatr w horyzont goni
Nad polami, gdzie w słońcu młode zboże rośnie!
Wy, które wśród błękitu cichej monotonii
Zdajecie się żaglami nad morzem bezgłośnem!

Wy, które wśród zachodów zasępiwszy czoła
Oddechem przyszłej burzy przepłyniecie nisko!
Serce me z wami płynie i za wami woła
Nieznane serce przy was tak tętniące blisko!

JEAN MORÉAS
przełożył Piotr Korzuch

* * *

Ileż razy, by ukryć łzy, gorzko płakałem!
Ileż razy do broni swej róże wplatałem,
by zataić przed tobą swe walki najkrwawsze!
Trzebaż było, by wóz mój ugrzęznął na zawsze;
zbłąkany na manowcu życia bez pociechy?
I wieczór ten potrzebny-ż, kiedy śle uśmiechy,
choć słyszę, jak dokoła świat się wszędzie wali,
i gdy nadzieja, w której wiara ma się pali,
widzę, że traci liście jak pierwiosnek cichy?
Chłopcze, przynieś mi żółci w olbrzymim kielichu.

(La Verdure Dorée LXXXVI)

TRISTAN DERÊME
przełożył K. A. Jaworski

* * *

Podnieś nos, zamknij książkę, otwórz drzwi na ścieżaj.
Oto flet kryształowy i usta pasterza
kształtują pośród kwiatów i gęstej zieleni
arię ważką, od której dziewczę się rumieni;
i tchnienie ust żarliwych, sprawnych tonów pościg

rozkwita najwspanialej w powszechnej światłości.
On śpiewa radość wielką, wzgórza i strumienie,
krzyk pawi, zieleń lasów, owadów brzęczenie;
śpiewa szkarłat po korze pnących się powojów,
błękit nieba i oczu, błękit jasnych zdrojów;
on śpiewa, drży i krzyczy, wielbi cię, naturo,
głos jego się roztapia w twych tajemnych chórach.

I dusza jego jednym jest miłości wątkiem.
On drży i wtem pijany tłucze się na szczątki
i pyłem nieśmiertelnym miesza się ze światem.

Flet słodki i me serce, które jest mu bratem.

TRISTAN DERÊME
(La Verdure Dorée LXVI)
przełożył K. A. Jaworski

R A N A

Z rękoma w mgle posępnej, w ustach mając pychę,
jak niosąca swą zdobycz lub szczenięta — lwica
idę przez świat. Oddycham. Wszystko mnie zachwyca.
W koło mnie barwy życia spoczywają ciche.

Koń się z rozprutym brzuchem i skrwawioną nogą
wraz z pikadorem wlecze, kiedy byk go ściga.
I ja lśniącego jeźdźca na swym grzbiecie dźwigam:
anioł, co złota szuka, bodzie mnie ostrogą.

Ale piękna istota o przeczystych rękach
błękitem, skrzydlatością i kwiatami w pękach
okrywa pustkę pola, w które kilof wbiłem.

Złota kruszcu, błyszczący, zagubiony w trawie,
O, miłości w ogrodzie, co wysysasz siłę...
— Anioł, którego niosłem, jak dziewczyna krwawi.

ODILON-JEAN PÉRIER
przełożył K. A. Jaworski

R Z E K A

Korytarz wzdłuż wielkich budynków podziemia
ciemne zamiary pasożytujących lwów
o księżycu straszliwy biegniesz jak wielki brzask
rzeka
twoje włosy są parowem piany zostawionym przez okręt

noc jest twym płaszczem
drzemiące na tobie odbłyski twoimi łuskami
nikt więcej nie chce cię poznać
wypływasz z oczu nieznanej gwiazdy
jak łzy które użyźnią
lecz nigdy nie poznamy twego bladego źródła
ust uwielbianych
i kwilenia przeciągłego w polach twych narodzin
Każdemu drzewu nachylającemu się nad tobą mówisz
odejdź przyjacielu i bracie i patrz przed siebie
nadzieje spleśniały
został tylko wspaniały Bóg
miłosierdzia
i wielkie nawoływania tam tak blisko mego serca
jeśli możesz przybiegnij do niego
Ale wiesz chyba że noc cię udusi
rękami ociekającymi krwią
Żegnaj bracie głuchy przyjacielu
nie wiem czy zobaczy cię jeszcze siostra twoja rzeka
Rzeka wygięta jak wargi
i jak wąż śpiący na soczystej łące
macierzyństwo owcy
nad stadem słabych blasków

PHILIPPE SOUPAULT
(„Georgia")
przełożył Julian Rogoziński

TYLKO TY JEDNA...

z cyklu: — „Premièrement".

Tylko ty jedna i słyszę trawy twego śmiechu
Ty głowa twoja która cię porywa
I sponad niebezpieczeństw śmierci
Pod globami zamąconymi deszczem dolin
Pod ciężkim światłem pod niebem ziemskim
Rodzisz upadek.

Ptaki nie są już wystarczającym schronieniem
Ani lenistwo ani zmęczenie
Wspomnienie lasów i kruchych strumieni
O świcie kaprysów
O świcie widzialnych pieszczot
O bladym brzasku nieobecności upadek.

Błądzą czółna twoich oczu
W koronce zanikania
Otchłań odsłonięta jest innym do ugaszenia
Cienie które ty stwarzasz nie mają prawa do nocy.

(„L'amour la Poésie")
PAUL ELUARD
przełożył Zbigniew Bieńkowski

CHANSON DE LA RICAMARIE

Głód wokół szybów większy co dzień
Kres już granicom ludzkiej mocy
I coraz ciemniej było w nocy
Gdy siódmy tydzień już nadchodził

Można by cierpień się nie lękać
Lecz dzieci, z tym jest najboleśniej
I matka ciężko wzdycha we śnie
I serce omal jej nie pęka

Czyż w łzy jedynie wierzyć trzeba
I w smutek w długi czas pogardy
Czyż człek jest mniej niż ołów twardy
Czyż rację mieć ma zawsze strzelba

O straszny łez i krwi posiewie
W ziemi gdzie głód i nędza rosły
Skąd syndykaty się podniosły
Lat temu siedemdziesiąt dziewięć

Słońce odwagą niech wam będzie
Ludzie żelaza ludzie głębi
Przyszłość przed wami to jak węgiel
Kilof wasz w dłoni ją zdobędzie

Dziś rano znowuście zabrali
Szyb o górnicy znad Loary
Ten wieczór będzie mniej już czarny
Dla tych nieszczęsnych z Ricamarii

I dzieje tych nadludzkich godzin
Przepędzą noc i Mocha zgraję
I tak tygodnie wciąż mijają
I oto siódmy już nadchodzi

LOUIS ARAGON
przełożył K. A. Jaworski

„KAMENA" ukazując się rzadko nie ma po prostu możności wypowiedzenia się w sprawie poważnych wydarzeń rozgrywających się w Polsce (powstanie jednej wielkiej partii robotniczej) czy na świecie (walka o pokój — kongresy). Ale nie potrzebuje chyba legitymować się całą swą przeszłością, w której niedwuznacznie dawała wyraz, że stosunek jej do tych rzeczy może być tylko jak najbardziej pozytywny. Tak samo trudno „Kamenie" nadążyć za wielkimi naszymi rocznicami (Mickiewicz, Słowacki, Chopin) i uwzględnić je wszystkie w materiale, który zresztą w piśmie tego rodzaju ma charakter specjalny. Przypominamy, że w r. 1934 wydaliśmy specjalny numer mickiewiczowski z okazji stulecia „Pana Tadeusza", a w r. 1937 „Kamena" była bodajże jedynym pismem w Polsce, które cały zeszyt poświęciło Puszkinowi w setną rocznicę jego śmierci.

WESZLIŚMY W OKRES święcenia stulecia zgonu Słowackiego i Chopina, okres, który trwać będzie do końca roku. Nie potrzeba chyba mówić, jaką wagę przywiązują czynniki rządzące i cały nasz świat kulturalny do wyzyskania tych rocznic w celu upowszechnienia wspaniałej muzyki Chopina i wielkiej poezji Słowackiego. Nic dziwnego, że wysokim protektorem obchodów jest prezydent Rzeczypospolitej. A Słowacki nie dotarł jeszcze pod strzechy jak o tym marzył Mickiewicz i co się w stosunku do autora „Pana Tadeusza" realizuje w naszych czasach. Nie łatwo mu będzie zdobyć popularność Mickiewicza, z czego sam sobie zdawał sprawę, gdy mówił: „Imię moje tak przeszło jako błyskawica i będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia".

Mickiewicz bliższy nam jest i łatwiejszy do zrozumienia jako człowiek. Otoczony zawsze gronem licznych przyjaciół, najpierw poeta, który już za życia zdobył serca Polaków, a którego poezja czerpiąca soki głównie z życia realnego łatwo znajdowała oddźwięk wśród społeczeństwa, potem publicysta, polityk, organizator, człowiek czynu, prosty wielki, zrozumiały, to monolit jakby stworzony dla naszej epoki. Słowacki, chory, samotnik, mało współżyjący z ludźmi; stojący na boku życia politycznego, niepodzielny władca fantazji, który sam scharakteryzował swe życie w słowach: „roję, — śnię, tworzę" i piszący językiem wspaniałym, ale nie tak przystępnym jak Mickiewicz, wydaje się nam na pozór daleki dzisiejszej rzeczywistości. Ale sąd taki byłby z gruntu błędny.

Że chętniej obraca się w krainie marzeń, choć nieraz zstępuje na grunt realny wykazując wtedy dziwną ostrość widzenia, że raczej jednak fantasta? Ale fantazja Słowackiego sięga ku lepszej przyszłości Polski, tej Polski wyzwolonej z czerepu rubasznego szlachetczyzny, ku temu „wielkiemu posągowi z jednej bryły", który właśnie dzisiaj wielki wysiłek ludu polskiego zgodnie wykuwa.

A jaką ostrość widzenia rzeczywistości, prześcigając nieraz pod tym względem Mickiewicza miał autor „Anhellego", najlepiej świadczy o tym jego sąd o współczesnym mu pokoleniu, słabym i niezdolnym do czynu, skazanym na wymarcie, pokoleniu, które może być spokojne tylko „o dzień, który będzie jutrem jego śmierci", a którego zadaniem jest jedynie zachowanie nadziei, celem przekazania jej swoim następcom. Albo stosunek do Towiańskiego, spod którego wpływu otrząsnął się wcześniej od Mickiewicza. O szczerym demokratyzmie Słowackiego mówią liczne jego utwory, a czterowiersz „Testamentu" jest tak samo sztandarowy jak wiekopomna Oda Mickiewiczowska. Kiedyż to, jak nie w niedawnych, straszliwych latach okupacji hitlerowskiej krzepił nas nakaz poety: „Niech żywi nie tracą nadziei"? Kiedyż to jak nie dziś właśnie cały wysiłek zdąża do tego, by „przed narodem nieść oświaty kaganiec"? I zawsze, gdy trzeba będzie dla świętej sprawy „na śmierć iść będziem po kolei, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec"!

Imponuje nam Mickiewicz niepożytością swej energii, organizator legionu rzymskiego i wschodniego. A pomyślmy o chorym suchotniku który na rok przed swą śmiercią goniąc resztką sił jedzie z Paryża do dalekiego Poznania na wieść o przygotowującym się powstaniu.

Nie, Słowacki może tylko nam się wydawać dalszy dzisiejszej rzeczywistości niż Mickiewicz, ale gdy wgłębimy się w jego życie i twórczość, musimy przyjść do wniosku, że godzien jest zająć miejsce obok niego. I może obecny rok przez akcję związaną ze stuleciem śmierci poety przyśpieszy przepowiedziane przez niego ostateczne „za grobem zwycięstwo".

ZGON SERGIUSZA KUŁAKOWSKIEGO. 10 marca r. b. zmarł w Łodzi prof. Sergiusz Kułakowski. Syn profesora Uniwersytetu Kijowskiego, stiudował filologię słowiańską, rosyjską, romańską i germańską w Kijowie i Leningradzie (ówczesnym Petersburgu). Po otrzymaniu w r. 1916 dyplomu pierwszego stopnia wykłada na Kursach Pedagogicznych w Kijowie, po czym zostaje asystentem Uniwersytetu w Kijowie i docentem na Wyższych Kursach. W r. 1921 habilituje się i otrzymuje docenturę na Uniwersytecie Moskiewskim. Studia uzupełniające odbywa za granicą w Lipsku i Paryżu (Sorbonne). Od r. 1926 jest docentem literatury rosyjskiej na Wolnej Wszechnicy w Warszawie i lektorem języka rosyjskiego na Uniwersytecie, w latach następnych obejmuje prócz tego lektoraty w innych wyższych zakładach naukowych (W.S.H., Szkoła Nauk Politycznych, Politechnika). Od r. 1945 był docentem na Uniwersytecie Łódzkim. Zmarły współpracował z wieloma polskimi pismami literackimi („Wiadomości Literackie", „Przegląd Warszawski", „Przeglad Współczesny", „Kwadryga", „Kamena" itp). Jest m. in. autorem antologii „Sowriemiennyje polskije poety" (1929 — przekładów wierszy dokonał M. Choromański), szkicu „Jan Kochanowski" (1930), podręczników do nauki języka rosyjskiego i książki „Pięćdziesiąt lat literatury rosyjskiej 1884 — 1934" (1939), oraz wielu artykułów zamieszczonych w Wielkiej Literaturze Powszechnej i w Encyklopedii Trzaski, Ewerta, Michalskiego. S. Kułakowski przygotowywał pracę o Mikołaju Leskowie, świetnym a prawie nieznanym u nas pisarzu rosyjskim, i jego stosunku do Polski i powstania styczniowego. Przez zgon prof. S. Kułakowskiego uboga rusycystyka nasza poniosła wielką stratę. „Kamena" żegna w zmarłym wieloletniego sympatyka i współpracownika. W powojennej wznowionej „Kamenie" w n-rze poświęconym A. Błokowi ukazał się artykuł S. Kułakowskiego „Trzy miłości Aleksandra Błoka".

ZWIĄZKOWĄ NAGRODĘ LITERACKĄ przyznano poecie Stanisławowi Wygodzkiemu za jego książkę „Pamietnik miłości". Wygodzki znany był już przed wojną jako autor zbiorków „Chleb powszedni" (1934) i „Żywioł liścia" (1936), w których zawarł wiersze przeważnie społeczno—polityczne o wyraźnej ideologii proletariackiej. Nowa powojenna książka Wygodzkiego jest w poezji naszej zjawiskiem wyjątkowym ze względu na swą tematykę opartą o tragiczne przeżycia autora. Jest to nie tylko książka poetycka, ale wstrząsający dokument „czasów pogardy", które mogły inspirować powstanie tego rodzaju zbiorku „Pamietnik miłości". Tytuł kojarzy się z jedną z wcześniejszych książek Kazimierza Wierzyńskiego, poświęconą młodzieńczej miłości do kobiety. Niestety, to tylko złudne podobieństwo. Wiersze Wygodzkiego nie mają nic wspólnego z radosną tematyką Wierzyńskiego. Jeśli szukać podobieństw literackich, należałoby sięgnąć do „Trenów" i „Wspomnień o Adamie Żeromskim" (mniej już do „Oica zadżumionych", poematu opartego nie na bolesnej prawdzie przeżycia, lecz na imaginacji). Są to właśnie treny, wstrząsające elegie poświęcone „moim Zmarłym" (dedykacja), pamięci ofiar bestialstwa hitlerowskiego: rodziców, braci, żony, córeczki. Z całej rodziny poeta ocalał jeden, by dać świadectwo okrucieństwu koszmarnych lat wojennych, „aby w nim Przyszły posłuchał szlochu mojego wieku". W trzydziestu trzech utworach zamknięty

jest ból syna, brata, męża i ojca. Najwięcej wierszy wiąże się z śmiercią córeczki, co jest zresztą zrozumiałe: mimo wszystko ból ojca w obliczu straszliwego unicestwienia kruchego ciałka tej „maleńkiej jak wiotkie drzewko, brzózka, jodełka, jabłonka, małej dziewczyny z zieloną śpiewką jak łąka" musi być najsilniejszy i przytłaczać ciężarem bezmyślnego okrucieństwa tamte bóle po stracie nie mniej ukochanych, ale dojrzałych już i silniejszych osób, które odchodzą ze świata spełniwszy większość swych zadań. Wygodzki ma świadomość tego, że jego wypadek nie jest odosobniony, że takich jak on cierpiących, którzy stracili swych bliskich w gazie i ogniu są tysiące, jak tysiące małych dzieci z wielu krajów europejskich wrzucono do pieca krematoryjnego. Mówi o tym we wzruszającym wierszu „Dzieciątka moje ptaszyny" i w jedynej w swoim rodzaju „Modlitwie": „matko trwogi: co się nazywasz jak nasze dzieci; a nasze dzieci na stosach płoną i dymią, jakkolwiek się zowiesz matko: Chano, Katiuszo i Mario, — nie opuszczaj nas". Wiersze Wygodzkiego są na wskroś humanitarne. Nie wyczuwa się w nich nawet nienawiści: „nie mściciel przychodzę, nie sędzia", poeta nie tyle zbirów potępia, ile system, który potrafi w człowieku zabić jego człowieczeństwo. I ponad krzywdę tysięcy pozostałych przy życiu ponad miliony ofiar wyrzniętych, wystrzelanych, spalonych — wykwita jego wiara w przyszłego człowieka: „Wolne ludy czeka ogromna praca, aby budować, ziemię przeorać i serca, nowe lady wznosić ze szkła i kamienia, ład zaprowadzać radość zaszczepić tak ściśle, jak ściśle umarłych prochy wnikną w glebę dyszącą, w pole szumiące złotym kłosem, w warstwy liści, co leżą w lasach podszyciem, w pory chropawe ugorów, piaskowca i krzemu; by tam; gdzie była śmierć, wyrosło wraz z moim głosem nowe życie". Piękna książka. Wstrząsająca książka. Ludzka książka. A jednocześnie książka, do której nie można podchodzić jak do innych. Tyle w niej nieobeschłych łez, tyle lepkiej jeszcze krwi. Jeśli za taką straszliwą cenę miała ona powstać, jakim szczęściem byłoby, gdyby w ogóle nie została napisana.

RÓŻNICA ZDAŃ. W n-rze 12 „Kuźnicy" ph pisze: „pismo literackie „Warszawa" drukuje na pierwszej kolumnie olbrzymi poemat Karola Tomana, poety, który na pewno ma wielkie znaczenie dla rozwoju narodowej poezji czeskiej, ale n i e i n t e r e s u j e n a s d z i ś t a k b a r d z o, j a k t o s o b i e w y o b r a ż a redakcja „Warszawy" i t ł u m a c z t e g o p o e m a t u" (podkreślenie nasze). Chcielibyśmy wiedzieć, kto w takim razie według ph z współczesnych poetów bratniego narodu nas interesuje, skoro nie Toman, jeden z najgłębszych poetów czeskich, o którym przytaczamy opinie z n-ru 25 „Tvorby" (r. 1946), wyjętą z nekrologu pióra Jerzego Hajka „Zwycięski wawrzyn". Hajek pisze w nim m. in., że twórczość Tomana rozwijała się „od gorzkiego sceptycyzmu .. do szerokich perspektyw społeczeństwa i wieku, do najgłębszego zakotwiczenia się w losie wszystkich nędzarzy „pokornych i mściwych", braci jego głodnego i pożądliwego, tułaczego serca, do najsilniejszego przeżycia zbiorowego losu narodu w latach pierwszej wojny światowej, jak to znajdujemy w książkach „Miesiące" (druk. w „Warszawie" p.t. samodzielnie danym przez redaktora tego pisma — „Ojczyzna" — przypis. mój), „Głos ciszy" i „Wiersze rodzinne i inne" a wreszcie w niezrównanej książce słonecznej mądrości jego jesieni „Stuletnim kalendarzu", w której waży najcenniejsze poznanie swego życia, gdzie się przebija z uporem husyckiego, zapalonego poszukiwacza prawdy do zrozumienia sensu największego wydarzenia historycznego całej epoki — rosyjskiej rewolucji październikowej, gdzie wyśpiewuje swą pogańską, dumną i upajającą religię pełni i piękna życia, łącząc się z hymnem walczących „zastępów"... Jest to droga wywalczająca przezwyciężenie najfatalniejszych wewnętrznych konfliktów i antynomii całej światowej epoki kapitalistycznej, na które choruje życie i sztuka jego doby, jest to droga zmierzająca ku temu, by mówiąc za Szaldą, piękno i prawda stały się wreszcie tym samym, by zniknęła dawna nie-

przyjaźń między rzeczywistością a snem, między narodem a ludzkością byśmy z każdej chwili swego życia budowali zawrotny most między sekundą a wiecznością, by poezja, jak nigdy przedtem, stanęła w samym środku życia społecznego. Aby stała się pośrednikiem i narzędziem wszystkich tych syntez historycznych, których urzeczywistnienie dane jest społeczeństwu socjalistycznemu, jako jego cel historyczny". „Kto ma rację: ph z „Kuźnicy" czy Hajek z „Tvorby"?

„KSIĘGA PAMIĄTKOWA ku czci Leopolda Staffa" jest pięknym hołdem złożonym największemu z żyjących poetów polskich przez jego kolegów, z których wielu było jego terminatorami. Dlaczego jednak w tym uczczeniu 70-lecia życia i 50-lecia pracy świetnego pisarza nie wzięli udziału wszyscy nasi autorzy, których nie mamy zresztą zbyt wielu? Zauważyliśmy np. brak Broniewskiego, Brandysa, Brezy, R. Matuszewskiego; H. Michalskiego, Swinarskiego i Wata. Zapewne znaleźć by można i więcej nieobecnych.

„LIRYKI DOLNOŚLĄSKIE" Wacława Mrozowskiego (Wydawnictwo ludowe, Warszawa 1948), niesłusznie przemilczane zupełnie w prasie literackiej świadczą o tym, że poeta zaczyna się wyzbywać wpływów Czechowicza i potrafi nieraz znaleźć własny wyraz, oryginalny i piękny.

Z KSIĄŻEK LITERATÓW LUBELSKICH, które ukazały się w ciągu r. 1948 — 1949 (nie będziemy już chyba w ich poczet wciągać monografii o Mickiewiczu prof. J. Kleinera, który Lublin opuścił) wymienić można stosunkowo niewiele: publikację zbiorową „Rok 1848", rzecz o Prusie Feliksa Araszkiewicza („Bolesław Prus" — filozofia, kultura, zagadnienia społeczne" Książnica Atlas 1948), powieści Józefa Nikodema Kłosowskiego: „Mgła" (B. Matuszewski, Warszawa 1948) i „Walkę z aniołem" (E. Kuthan, Warszawa 1949), tomik „Bajek" Eugeniusza Gołębiowskiego i „Wiersze wybrane" Tiutczewa w przekładzie K. A. Jaworskiego (wespół z T. Stępniewskim i J. Tuwimem — studium wstępne i redakcja K. W. Zawodzińskiego, wyd. W. Bąka, Łódź 1948).

NAJBLIŻSZY JESIENNY zaszyt „Kameny" będzie w całości poświęcony Józefowi Czechowiczowi w dziesięciolecie jego tragicznej śmierci. W projekcie numer specjalny związany z powojenną poezją radziecką.

APEL „KAMENY" w ostatnim zeszycie „jubileuszowym" pozostał na razie bez echa. Praca w dalszym ciągu spada na jednego człowieka.

— kaj —

KSIĄŻKI NADESŁANE

Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza"

Jean Cassou: Paryż we krwi, W-wa 1948. John Galsworthy: Saga rodu Forsytów — Posiadacz, W-wa 1948. Prosper Merimée: Carmen, W-wa 1948. Beniamin Constant: Adolf, W-wa 1948. Eliza Orzeszkowa: Bene nati, W-wa 1948. Eliza Orzeszkowa: Cham, W-wa 1948. Eliza Orzeszkowa: Dziurdziowie (K-U-K.) W-wa 1948. Roman Sadowski: Rzut oszczepem (poezje), W-wa 1948. Helena Boguszewska: Polonez (IV) — Święcona kreda, W-wa 1948. Wacław Sieroszewski: Nowele, W-wa 1948. Karol Irzykowski: Pałuba, W-wa 1948. Tomasi Aron: Abel w puszczy, W-wa 1948. Howard Fast: Amerykanin, W-wa 1948. Jean Henri Fabre: Dziwy instynktu owadów i pająków, W-wa 1948. Marian Podkowiński: Pamiętniki Goebbelsa, W-wa 1948. Or—Ot: Światek dziecięcy, W-wa 1948.

Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza

Wacław Sieroszewski: Beniowski, t. I i II, 1949. Helena Boguszewska: Żelazna kurtyna, 1949. Pearl Buck: Spowiedź Chinki, 1949. J. Fenimore Cooper: Szpieg, 1948. Wacław Sieroszewski: Ucieczka, 1949. Wacław Sieroszewski: Ocean t. I i II, 1949. Pola Gajowiczyńska: Powszedni dzień, 1949.

Państwowy Instytut Wydawniczy

Dokumenty: Proces krakowski, W-wa 1948. Adalf Sowiński: Ściągienny, W-wa 1948. Jarosław Iwaszkiewicz: Chopin, W-wa 1949. Karol Koźmiński: Sułkowski, W-wa 1948. Stanisław Wyspiański: Warszawianka, W-wa 1948. Georges Politzer: Wykład filozofii — zasady podstawowe, W-wa 1949. Lucjan Rudnicki: Stare i nowe, W-wa 1949. Jan Ptaśnik: Miasto i mieszczaństwo w dawnej Polsce, W-wa 1949. Mieczysław Jastrun: Mickiewicz, W-wa 1949: T. Leontiewa: Przyszłość należy do nich, W-wa 1949. Jack London: John Barleycorn, W—wa 1949. Henryk Sienkiewicz: Krzyżacy, t. I i II, W-wa 1949.

Wydawnictwo Władysława Bąka w Łodzi

J. I. Kraszewski: Historia kołka w płocie, 1948. Iwan Turgeniew: Szlacheckie gniazdo, 1948. A. S. Puszkin: Córka kapitana, 1948. Michał Lermontow: Bohater naszych czasów, 1949. Halina Maria Dąbrowolska: Praca i miłość, 1948. Wojciech Bąk: Twarze, 1948. Wojciech Bąk: Dłonie z wiatru — poezje, 1948.

Inne wydawnictwa:

Leon Pasternak: Zasady i kwasy — satyry, w-wo. J. Przeworskiego, W-wa 1948. Wanda Karczewska: Notatnik liryczny — poezje, Bydgoszcz, Biblioteka Arkony t. I, 1949.

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski. Wydawnictwo: „Zespół Kameny". Redakcja i Administracja: Lublin, ul. Bronowicka 14 m. 4. Redakcja i Administracja w lipcu i sierpniu nie czynna. Prenumerata roczna (rocznik X) 300 zł. Przyjmuje administracja

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 150 zł.

Druk. Nr 1 Spółdz. Wyd. „CZYTELNIK" Lublin Zamojska 24 A – 28562